

WYCHODZI —
CO NIEDZIELĘ.

PRENUMERATA
W KRAKOWIE
WYNOŚI:

DO KOŃCA ROKU
4 KORONY.

NUMER POJE-
DYNICZY 20 h.

20 CENTIMÓW, 20 FE-
NIGÓW, 10 KOP.

GŁOS

LITERACKI I SPOŁECZNY.

WYCHODZI —
CO NIEDZIELĘ.

PRENUMERATA
ZAMIEJSCOWA
WYNOŚI:

DO KOŃCA ROKU
5 KORON.

ZA GRANICĄ —
5 MAREK, 5 FRAN-
KÓW ALBO 2 RUBLE.

Redaktor kierujący: KAZ. EHRENBURG.

Redakcja i Administracja: Garbarska nr. 7.
Telefon nr. 309.

Sekretarz Redakcji: WITOLD NOSKOWSKI

„Głos literacki i społeczny“ dołączany jest jako bezpłatny niedzielny dodatek dla wszystkich abonentów dziennika „Głos Narodu“.

Nr. 21.

Kraków, dnia 2. grudnia.

1900.

Z wojny chińskiej



Fronton poselstwa francuskiego w Pekinie dnia 20. czerwca 1900 r.



Fronton poselstwa francuskiego w Pekinie dnia 15. sierpnia 1900 r.

Słowo wstępne Kazimierza Tetmajera

wypowiedziane na wieczorze Mickiewiczowskim
w Krakowie, dnia 26. listopada 1900 r.

Uczyniono mi ten zaszczyt, iż z woli młodzieży akademickiej otworzyć mam dzisiejszy wieczór ofiarowany pamięci Adama Mickiewicza. Od długiego szeregu lat powtarzają się te wieczory i od długiego szeregu lat wypowiadają się na nich słowa o pocie, a także sądy o duchu społecznym, sądy o młodzieży, nadzieje, obawy, przewidywania przyszłości, pragnienia i chęci. Tych ostatnich może najwięcej i może najchętniej i najciekawiej się ich słucha. Albowiem naród nasz jest w epoce wrzenia, w czasie żądź, w momencie pragnień. Jak owe „tysiące rac krzyżujących się po okręgu świata“, nim „oko słońca weszło“: tak tysiące pragnień krzyżuje się w duszy narodu — nim „oko słońca wejdzie“.

Szczęśliwszy od nas Adam Mickiewicz jeden miał tylko przed oczyma widok: resurrekcyę, odbudowanie Polski. W tem pojęciu koncentrowało się i zespalało wszystko, co myślał i czuł. Jeszcze nie było na porządku dziennym kwestyi socyalnej, jeszcze nędza i ciemnota ludu nie wydobyły ze swych piersi tego ryku, od którego drżą zamki i wieże, jeszcze nie było obawy wynarodowienia. Jeszcze od pół wojennej chwały Kościuszki, od bojów Napoleońskich, a potem od rewolucyi listopadowej szło to powietrze, szedł ten wiatr, który zbijał w jeden tuman wszystkie obłoki narodowej myśli i niósł je ku wschodowi, ku słońcu, które miało wejść... „A oko słońca weszło“.

Atoli oko słońca nie weszło, przyszedł za to mrok z mnóstwem swoich strasznych i złowróżbnych pogłosów, ootwierają się czeluści, przepaści i otchłanie, ziemia poczęła drzeć i pękać pod nogami.

Powiada Mickiewicz: „Każdy z tych ludzi, co przedsiębrali wielkie zmiany na świecie pełnięci od tego ślepa tylko koniecznością, pasował się zawsze z własnym zwątpieniem“. Do przedsiębrania wielkich zmian na świecie niech nas nie-tylko ślepa konieczność popycha, nas, którzyśmy już nie zdradzali kraju, którzyśmy już nie upadli pod brzemieniem własnych win, którzyśmy już nie dali się pobić pod Maciejowicami, czy pod Warszawą, a urodzili się jednak w ziemi skazanej na straszną pokutę i nieszczęście. Potępionym niech będzie, kogoby do przedsiębrania wielkich zmian ślepa tylko popychała konieczność!

Naród ich czeka. Są drzemające, prawie jeszcze nie rozbudzone olbrzymie elementy, które czekają ocknięcia, nieświadome dotąd swoich własnych sił, podobne do wulkanów, nad którymi się jeszcze nie otwarły krateru.

Przypadek zrzucił, że urodziliśmy się Polakami, w kraju, w którym jest się postawionym twarzą w twarz tylu straszliwych widm zagłady, że nie człowiek, ale bóg mógłby zmysły utracić! Nędza, głód, ciemnota, wytyżają ku nam z jednej strony swoje krwawe oczy, gdy z drugiej lunczy ku nam grożąca zalewem rzeka od mórz przeklętych! Któż z nas może powiedzieć:

„Silniejszy jestem: cięższą podajcie mi zbroję“?

Śmiertelna też trwoga, śmiertelne znużenie i śmiertelna bezradność oparowały pomiędzy nami wielu lepszych; cynizm, apatya, sobkostwo, utylitaryzm i kompletne wyuzdanie materialistyczne owaładnęły gorszych; mało idzie „jak kamienie rzucane na szaniec“. Poprostu dopuszcza się nieraz myśl, że każde gorętsze słowo nudzi, lub obudza śmiech, jak nuta przebrzmiała.

Naszego zaś pokolenia tragedia jest straszliwie jasne uświadomienie sobie tragedii sytuacji. „Nieporównany ułan“ polski, o którym mówi Mickiewicz, runął w sześćdziesiątym trzecim roku i zlamano nad nim miecz: był ostatnim z rodu. Przez dziesięć wieków „nieporównany ułan“ polski zdumiewał świat, aż wreszcie runął — i pękł łańcuch tradycyi mieczowego odporu.

Gdy ponowne najazdy perskie powtarzały się na Grecję, żyła tradycja poprzednich zwycięstw; u nas pozostała tradycja klęski. Gdy upadła wiara w oręż i trąby wojenne: trzeba było inną i inną walkę rozpocząć, inną formę „wielkiej zmiany“ przedsięwziąć, a złe fatum postanowiło puhar wypełnić po brzegi: nie dało nam wodzów. Jedni, jak Ujejski, umieli tylko płakać i przeklinać, drudzy jak Asnyk, tłumili tylko zwątpienie, trzeci, jak Sienkiewicz, odwrócili się ku chwale przeszłości. Ale signięto w groby umarłych

i wyszli z nich kapłani, druidzi z zakonem, który niósł narodowi prawa życia. I ten, który najwięcej czuł, stał się Mojżeszem Polski, jej prawodawcą.

Społeczna dusza narodu rozlała się na różne części. Jesteśmy w epoce wrzenia, w czasie żądź, w momencie pragnień. „Duch ludzki — powiada Emerson — może brać za swoje narzędzie ziemię, parę, elektryczność, inteligencyę i używać ich do swoich celów, ale powinien dążyć ku temu, co filozof nazywa duchem powszechnym, to jest ku Bogu“. Takim duchem powszechnym, takim Bogiem, w którym jednoczy się wszystko, jest nasza niepodległość, największym bowiem ze wszystkich nieszczęść jest niewola.

Uświadomienie tego, przekonanie o tem, zmuszenie do wiary w to: oto *najwyższe* zadanie inteligencyi polskiej.

Niechęć powtarzać tych hasła, które nie stały się frazesem, ponieważ są święte, jak pacierz. Nie potrzebuję także powtarzać, czem był Adam Mickiewicz, że jest to ostatni rycerz polski, w którego sercu nie pozostała trwoga, ostatni Zawisza Czarny wojenny.

Jest i pozostanie gwiazdą przewodnią, albowiem wcielił w siebie najdoskonalszy ideał miłości i ofiary dla idei, albowiem „wielkie zmiany na świecie“ przedsiębrał nie ślepą koniecznością, ale olbrzymiem ukochaniem party. W nim jednym, w nim jednym i jedynym niema zwątpienia, nie ma nie, tylko żądza czynu. Bliżsi nam są dziś duchem Krasiński i Słowacki, zrozumieli się i pokrewniejsi — ale Mickiewicz stoi ponad przemianą pokoleń, umiłowawszy „na świecie zmiany wielkie“, jak Boga, w którego się wierzy.

Słuchajcie młodzi: niech kiedyś przyszłe ludy powiedzą, co Byron na boju wisku pod Waterloo: „To pole bitwy było zgolowane od wieków na teatr wielkiego wypadku“ — a niech nie będzie to Waterloo, tylko Salamina!



W rocznicę POWSTANIA LISTOPADOWEGO.

(Dokończenie.)

„Biada! Kto daje Ojczyźnie ról duszy, a drugie pół sobie na szczęście zachowa!“ woła poeta, „biada!“ Kto mówi, że kocha tę najdroższą matkę z matek i z chlubą głosi, iż jest jej synem, a nie stara się zerwać pętów krępujących jej dłoń i nie usiłuje wydobyć jej z przemocy ciemności. Syn Polski — sztandaru walki za wolność nie powinien z swej dłoni wypuszczać. — Nie powinien myśleć o spokoju, ciszy i szczęściu własnem, on ma być powstańcem broniącym swej narodowości tak długo, jak długo nie skruszą się pęta niewoli, nie przestaną nam lży krwawe za prześladowanie wiary płynące; jak długo nie będzie wróg deptać naszych uczuć i praw słusznych, każdy z nas jest dziś tak samo powołanym do walki za wolność. Jak byli powołanymi ci bracia nasi, którzy szli w bory i lasy w ubraniu powstańcem, i znosząc wielkie przykrości, starali się dzień chwały Ojczyzny przyspieszyć.

Bo każdy z nas, bez różnicy wieku, godności, wykształcenia, dobrobytu lub niedoli, jest dzieckiem jednej, wspólnej nam matki, i dla niej żyć, pracować i nawet umierać powinien. „Bo każdy z nas mógłby samotny, więziony, myślą i wiarą zwać i podzwagać trony“, mówi Mickiewicz, bo potęga takiej wspólnej i nieustającej pracy, podjętej w Imię Boże dla sprawiedliwości, jest niezmierzona, i prawdziwie może z gruzów nowe gwiazdy sławy podnosić — może jak ów Dawid jednym uderzeniem Goliata obalić i zabić...

Ty pytasz się jakim szlakiem twa droga do tej służby jest rzuconą wśród tylu prac, trudów i trosk codziennych? Kędy ci iść należy, by dziś w czasach głuchej ciszy i jakoby martwego nastroju, odnaleźć tę jasno płonącą gwiazdę idei i przy jej blasku zrozumieć, co ci czynić należy?... Ty pytasz, gdzie dziś pole nasze walki dla nas otwartej, gdzie nasze szaniec obronne karabiny i kosy naostrzone?...

Kto hasło ci poda, kto jak wódz i hetman naczelny w sukmanę odziany, powiedzie nas do walki za wolność i szczęście ludu?

O!... wierz mi bracie — wszystko zdobędzie ten, kto silnie postanowi sobie odzyskać to, co mu się słusznie należy... ale do tego trzeba dwóch rzeczy...

Silnej, żelaznej woli i wytrwania.

Chcesz być żołnierzem broniącym praw narodowych i walcącym za wolność — stań się najpierw w duchu mężnym, wytrwałym, uczciwym i silnym.

Bądź, jak byli oni. ci co walczyli krwawo, którzy szaniec sypali, krwią znaczili dni walki i wrogów gnębili... nie zmordowani, nie zmęczeni i nie ugięci.

Oddaj się tak tej walce, jak oni się oddali, zupełnie, przez długie dni, miesiące, lata... a wtedy zdziałasz wiele i patrząc w swą przeszłość, w swe lata uplynione, nie powiesz ze smutkiem, iż lat szkoda było.

„Trzeba koniecznie duchem stać wysoko
„Trzeba mieć zawsze obrocone oko,
„Na rzeczy wielkie... powinności

[święte...

a do tych celów najszlachetniejszych iść bez wytchnienia czystymi tylko drogami...

Kto wolność narodu posiada, ten obowiązany jest silnie pracować dla utrzymania tej wolności. Kto sławą Ojczyzny się chlubi, ten równie gorliwie musi pracować nad swem życiem i nad swemi czynami tak czuć, aby być godnym sławy praoców. Kto zaś w Ojczyźnie i szczęście widzi, ten powinien życiem całym się starać o to, aby szczęśliwość Ojczyzny w nim i przez niego się wzmacniała i rosła, a nie malała. To są powinności dla tych, którzy nie potrzebują walczyć, bo mają wolność, sławę i szczęście. Ale kto, jak my, nie ma ani wolności, ani szczęścia, ani nawet prawa do życia, a zamiast sławy Ojczyzny, słyszy, iż jej już nie ma, ten z wytężeniem wszelkich sił i poświęceniem bezgranicznym musi stać do boju, by zdobyć wolność, szczęście, sprawiedliwość... Ty pytasz... jak tę walkę toczyć i jaką broń chwycić... a nie rozumiesz, iż każdy z nas, jeśli tylko jest uczciwym, czystym, szlachetnym i prawnym, jest żołnierzem w znaczeniu moralnem, a takie zastępy rycerzy stokroć są potężniejsze i silniejsze od armii mającej tylko karabiny i kule w dłoni...

Idą plugi po czarnej roli i wieśniacy za nimi z trudem po skibach przechodzą... sukmany ich białe pyłem okryte, z czoła pot spływa... a pieśń pobożna ku niebu płynie... Czyż to nie żołnierze wolności i nie dzieci Polski? Czyż to nie synowie tej ziemi rozdartej w kawały i krwią spływającej, którzy jej życie podtrzymują, i jej istnienie utrwalają, i fundament jej przyszłości kładą?...

Wszak w pracy tak cichej i tak dalekiej od bojowania wśród kul gradu i błysku oręża... jaką jest praca rolnika na roli, jest przecież służba narodowa, i jest walka o byt wolny Ojczyzny, bo każdy, kto dobrze, pocziwie i wiernie obowiązek swój spełnia, jest dobrym synem Kościoła i Ojczyzny, tradycję narodową świecie przechowuje, służy obywatelsko Ojczyźnie, a tem samem walczy z złem i przyszłość narodu utrwalą...

Warczą koła fabryczne, kuja młoty kowalskie, słychać rumot hebli, posuwających się rażno po kawałku drzewa, nad igłą w warsztatach siedzą pracownicy i przy kaszcie drukarskiej pracują moczolnie ludziska, i przy cegle, kamieniu, wodzie, dłonie ludzkie są zajęte, a czy i ta praca nie jest służbą narodową? Czy na cześć i uznanie nie zasługuje, gdy sumiennie wykonana?... Zajęcia przemysłowe, rękodzielnicze, przez ludzi błędnie na nie patrzących wzgardzone i mało cenione, a jakże, przecież dla narodu są ważne, jak doniosły wpływ wywierają na podniesienie się, lub upadek dobrobytu rodaków!... Zmądne to zadanie wytrwać w tem zajęciu jak należy, godnie, pocziwie, praktycznie i pożytecznie — a choć te dłonie spracowane, choć te ramiona zmęczone, czoło poorane, oczy zamglone — czyż przecie serca, myśli, uczucia... tam nie płoną? nie są czyste, szlachetne? narodowe? Któż policzy ile tam przy igle, młocie, lub innem narzędziu rękodzielniczem, płynie myśli o Ojczyźnie, ile tam tęsknoty do życia innego, do kształcenia się, do pracy dla Ojczyzny? Kto policzy ile to życia młodego upływa przy takiej pracy zamkniętej w ciemnem kole monotoności, ile skarbu kryje się w tych izdebkach zakurzonych, przy warsztacie, pędzlu, kielni, młocie lub nożycach?...

Ty pytasz kędy twa droga do czynu, do rwania pęt, do rozkucia skrzydeł orłęcia białego?

Tu przy twojej pracy, przy twym moczole, troskach i łzach nieraz gorzko piekących!

Tu wśród rodziny twojej, w gronie towarzyszy, w świecie historii i wiedzy, w postępie i uszlachetnieniu serca twego.

Ale wtedy, gdyś ty zrozumiał i pojął, iż praca żadna, jeśli pocziwa, człowieka nie kała, że praca każda, jeśli gorliwie i sumiennie wykonywana, jest pracą dla narodu i służbą dla Ojczyzny.

Ale wtedy, gdy ty, jak powstaniec w pole bitwy spieszący, uklęknieś przed obrazem Boga Rodzicy i powiesz: Błogosław Matko! dodaj siły i mężstwa, bym był cichym bojownikiem w pracy mej, w życiu rodzinnem, obywatelskiem, bym ile mogę i jak mogę Ojczyźnie służył. Ale wtedy — gdy ty nad życie cześć, lekkomyślne, bezdenne, wyżej postawisz życie zacne, i pamiętać będziesz na słowa myśliciela, który rzekł: Noś w sobie Ojczyznę, w swej duszy i enocie i pamiętaj, że świat w tobie ją widzieć będzie i z ciebie sądzić o twojej macierzy. Każde słowo i czyn twój na nią spadnie, każda plama twa ją zbrudzi, każda zasługa ją ozdobi.

Ale nie zgina, chociaż gromy biją, Boże plemiona, które prawdą żyją, Chociaż niszczone ich siola i grody Trony się walą, nie giną narody... Najtwardsze czasem pękają okowy...

Przed siłą woli... przed siłą ofiary... więc o tę siłę woli właśnie starać się nam należy, i tę ofiarę pracy mozolnej, trzeba kłaść fundamenta pod przyszłą budowę wolności narodu...

Wśród rozlicznych urzędów, instytucyj, zakładów naukowych, posiedzeń, zebrań, stowarzyszeń i w ogólności wszystkich zajęć klasy tak zwanej urzędniczej, czyli średniej, mija też życie mozolne i dzień każdy dość trudów na swych barkach przynosi... Nauczyciel pracujący nad ludem lub młodzieżą, dziennikarz, sędzia, lekarz, kapłan, śpiewak, pisarz, malarz, muzyk to przecież także ludzie oddani pracy dla narodu, Ojczyzny, sprawiedliwości... To także żołnierze tej wielkiej walki, która się toczy, która zawsze złe potępia, o dobre prosi, która niesprawiedliwość i gwałt chce zniszczyć, i sprawiedliwość szerzyć. Nie tylko kulą, mieczem i kosą, w polu bitwy, ścina się szeregi wrogów. Nie tylko wtedy, gdy czerwona i biała chorągiew w polu się rozwinię, i trąbka powstańca zadzwoni, powinni wszyscy z ogniem i zapalem brać się do obrony kraju, ale zawsze i wszędzie myśmy powinni jak żołnierze sprawiedliwości, zło, ciemnotę, nieuczciwość zwalczać a starać się, by w enocie naszej i naszej sile duchowej Ojczyzna była silna, wolna i potężna!...

Podczas tego gdy mężowie nasi, bracia, ojcowie lub synowie, w pracy mozolnej o byt i chleb codzienny zajęci są bądź to na roli, bądź w warsztatach, lub urzędach... oto przy ogniskach domowych, tak samo w ciszy chaty wiejskiej, jak w izdebce rzemieślniczej lub w mieszkaniach nieco wygodniej urządzonych... polskie kobiety, oddane rodzinie, cichym zajęciom domowym i wychowywaniu dzieci, czyż nie są znów powołane do służby narodowej, i w tej świętej, wielkiej a doniosłej dla nas dziś walce za wolność, nie biorą udziału? W ich dłoniach spoczywa praca może największa i najpiękniejsza... praca wszechpiania w serca dzieci uczuć patriotycznych, zasiewania miłości dla Matki Ojczyzny i wskazywania tej gwiazdy idei, którą każde polskie serce powinno równie z gwiazdą wiary ukochać i tak do zdobycia szczęścia kraju, jak do zbawienia duszy dążyć.

Oto więc: nowy zastęp powstańców polskich, oto nowa fala bojowników za wolność i nowi pracownicy oddani na służbę ofiarną dla Ojczyzny... Polska kobieta matka, dziewczica, czy to dama w stroju sukni, czy wieśniaczka w lnianem odzieniu, czy to panna posiadająca wyższe wykształcenie, lub biedna pracownica zarabiająca igłą na wyżywienie siebie i rodziny, każda także powinna nad miłość siebie mieć gorętszą miłość Ojczyzny, każda nad życie codzienne, drobnostkowe, bezmyślne, powinna ukochać i przenieść świat podniosłych uczuć, każda także swą enotą, pracą i szlachetnością powinna Ojczyźnie służyć i dla niej pracować. Oto więc nowy zastęp powstańców polskich, oto nowa fala bojowników za wolność i nowi pracownicy, oddani na służbę Ojczyzny.

Zliczmy teraz te szeregi razem, zliczmy nasze polskie wojsko, bezbrodne wprawdzie, ale silne w duchu, i powiedzmy... czy te zastępy nie mogą być silniejsze i potężniejsze nad armię okutą i uzbrojoną, która przeciw prawom Bożym chce walczyć i depce krzyże, a kościoły zamyka? Podajmy sobie dłonie — złączmy myśli i serca w jedno ognisko, wzniesmy ramiona do jednej pracy i módlmy się o siłę do zdobycia tego, co

nam zabrano a prawdziwie w obec takiej potęgi mogą kajdany opasać — bramy więzienia otworzyć się, i zniknąć kordony, zacierając ślady niesprawiedliwości.

Wieśniak od pług, mowca z trybuny poselskiej, czeladnik stolarski, nauczyciel młodzieży, kapłan, ojciec duchowny, majster rzemieślniczy i ten ubogi przy fartuchu chłopak szewski, ta siostra twoja zarabiająca na życie igłą — i wy panowie magnaci... nieznający niedostatku, i ty urzędniku oddany pracy wyteżającej siły i wy wszyscy... nasi ukołani bracia, siostry, rodacy... czemużbyście nie chcieli lub nie mieli uczyć Ojczyzny swą pracą dla niej?... Wszyscy razem uczymy rocznie powstania narodowego przez podanie sobie dłoni do wspólnej pracy, do walki bez krwi rozlewu, bez sypania mogił, kurzawy dymów i brzęku broni... Do walki nie tylko z wrogiem przez gnębienie wroga, ale walki w nas samych, przez dążenie do wzniesienia się wyżej.

„Idź zawsze naprzód niezachwianą nogą,
„Przez dziewięć wieków torowaną drogą,
„Bo służba twoja pośród ludów grona
„Tylko przerwana, ale nieskończona!

Idź zawsze naprzód i kształć swe serce, poznawaj dzieje, wyrabiaj hart ducha, i staraj się być czystym jak łąka dziecinna... a dobrze uczysz wielkie chwile wspomnień narodowych.

Idź zawsze naprzód i pomnij o tem, że Polski sprawa wymaga wybudowania gmachu niepodległości od samego spodu podstawy fundamentów, bo wróg przebiegły uderza w same podwaliny, chce burzyć wiarę, cnotę, miłość i zgodę, bo wie że tym sposobem najłatwiej nas osłabi, a gdy ty nie dasz cnoty, wiary i jednności zburzyć, lecz owszem umocnisz je wtedy, będzie można rzec, iż jesteś dzielnym powstańcem i dobrze służysz Ojczyźnie...

Idź zawsze naprzód i wiedz że każdy czyn twój dobry i szlachetny, będzie ozdobą i cnotą Ojczyzny, a każda plama na twem czole i twej duszy, będzie plamą Ojczyzny, więc gdy ozdobisz życiem swem jak jasną tęczą ciało Ojczyzny, wtedy będziesz dobrym bojownikiem — i szlachetnie uczysz przeszłość narodu.

Idź zawsze naprzód i w każdym twym czynie, w słowie, postępku i celu staraj się o zachowanie cechy narodu, walcz o prawo języka ojczystego, wytepij to co obce, strzeż by się cudzoziemczyzna, kosmopolityzm, socjalizm błędny nie szerzyły wśród nas.

A gdy chcesz walczyć za wolność, to walcz o to, by mowa twoja ojczysta była wśród nas naleyście szanowana — by się tu niemieczyzna, już dość niestety rozszerzona, nie tylko nie rozrastała dalej, ale tępiona była na każdym kroku. Lud szlachecki walczy i broni się by mu mowy ojców nie psuto, a u nas iluż to bez potrzeby używa języka obcego — ilu powtarza wyrazy poprzekręcane, mieszane? Wiele stowarzyszeń, za zasadą członkom swoim to daje, iż za każde słowo bez potrzeby powiedziane po niemiecku opłaca się kara dwóch centów na cel towarzystwa; to dobrze robi, bo strzeże czystości mowy i fundusze wzmacnia.

Gdy chcesz walczyć za wolność, staraj się, aby wśród zebranych rodzinnych, towarzyskich, wyższa myśl nad zwykłe rozmowy o plotkach i wypadkach codziennych snuła się, aby tracenie czasu na piwiarnie, kręgielnie, szpetne zabawy, głupie żarty zostało zniesione, a poczęte się życie wyższe — narodowe — pełne myśli i godności...

Gdy chcesz walczyć za wolność, to staraj się, aby w naszych domach, chociażby najuboższych, znać było, że tu mieszkają Polacy, nie ludzie bezmyślni, ale ci którzy po Bogu, Ojczyznę kochają nad wszystko, więc i obraz Kościuszki niech przemawia do twej duszy, i do serca dziecinny, która począwszy szczebiotać, będzie pytać; co zacz ten bohater w czerwonej sukmanie i krakusce? I mapa Polski niech na ścianie zawieszona będzie, a przemówi ona potajemnie i cicho nie raz jeden, przemówi do serca i duszy twej, i znak orła polskiego i widok Wawelu... i polskie książki, i polskie piosenki o Ojczyźnie, o Kościuszcze, o dawnej doli niech brzmia wśród ścian izdebki Twej, a będziesz wychowywać młodzież jak przystoi Polakowi być wychowanym i poznając ludzkie, że serce twoje dla Polski nie zimne. I gdy chcesz walczyć za wolność, to walcz z ziemi nałogami twych braci, staraj się ich podnosić, zachęcać do życia szlachetniejszego, czuwaj nad kolegami by nie stygli w miłości, i nie tracili otuchy wśród przeciwności.

Opiekuj się i tymi, którzy są oddani twej opiece... a obaczysz jak ogromne pole walki przed tobą, jak wiele musisz mieć siły i mężstwa — zapala i wytrwałości... Naród potęgę swą powinien mieć w cnotach. W tem jego wyższa siła powinna być nad siłę i wielkość innych narodów. Ale cnota narodu tworzy się z cnoty jednostek... Gdy wszyscy: ty — on — i ja i tamci będziemy starać się być przedewszystkiem cnotliwymi, wtedy dopiero poznamy ile mocy nam przybędzie, jak piękne życie rozwinie się przed nami.

I jeśli chcesz walczyć za wolność, to musisz dążyć koniecznie, niezbędną do tego, by iść codziennie wyżej, codziennie naprzód w wiedzy, w poznawaniu historii, w udoskonaleniu języka, w ulepszeniu rzemiosła, w wytrwałości, w dobrym wychowaniu młodzieży, w tępieniu lenistwa, pijaństwa, zawiści...

I któż powie że do tej walki za wolność stanąć nie może? Ktoż może rzec że to za wiele na jego siły? że to za ciężki łańcuch obowiązków, prac i mozolów i on nadto, co robi, więcej nie uczynić nie może? Kto jest rzemieślnikiem, niech nie zdaje się machiną tylko, ale przy warsztacie i narzędziach niech ma myśl wyższą na czole i niech udowodni tym, którzy rzemiosłem gardzą, że i tu jest duch narodowy a ten nie śpi i nie próżnuje, lecz działa.

Nie sztuka to — na odgłos trąbki wojennej, na widok sztandaru rozwiniętego, i szeregu wojsk nieprzyjacielskich rzucić dom, rodzinę i spieszyć do walki. Ale w cichej pracy w życiu monotonnem, wśród niedostatku i poniżenia, trudu i mozola — trwać, pracować i walczyć — oto mężstwo wielkie i bohaterstwo małe! Burzą w nas cnoty ludzkie namiętni, — odstąpmy od nich, urągają z nas ludzie pyszni, nie zważają na to, nie chcą iść z nami na trud i mozola ludzkie słabego ducha... nie miejmy za to żalu... sami trwajmy niewzruszenie, nieskalanie... służmy Ojczyźnie wszystkim tem, co wzniosłe, wielkie, pocziwe i szlachetne, a Bóg nam dopomoże i lepsze przyjdą czasy.

Nie tak to trudno, nie tak to mozolnie kochać Ojczyznę, ale trzeba mieć zawsze gorące chęci i serce... A gdy u nas rocznie i wspomnień dziejowych tyle — gdy każda zaszczepieniem cnoty, a wypełnieniem złego czcić poczniemy, wtedy ile zniknie ułomności, a wszędzie promiennych gwiazd zasługi!

Więc walczyć za wolność — czy wiesz [już co znaczy?

Czyż pole tej bitwy już twój duch obaczy? I oręż ten cichy, co pokona wrogów Czy zatkniesz zwyciężko u twej chaty [progów...

Czyż stracisz nadzieję? O polska dziecino Bóg liczy łyż krwawe, co sto lat tu płyną Bóg czuwa — i widzi... i przyjdzie z pomocą,

Ale my wprzód walczmy z ciemną błędą [dów nocą

Zwyciężmy nas samych, zahartujmy serca, A korzyć się będzie dziś srogi morderca... I słońce nam zejdzie i Bóg skruszy pęta, A Polska powstanie — biała — wolna — [święta!!

J. Strokowa.

Z cyklu:

„Do cieniów matki“.

III.

N O C.

Smutno w tej głuchej i ponurej ciszy, W której spokojnie śpiących pierś oddycha; Żadnych szelestów ucho nie dosłysz, Bo noc jak śmierci majestat — tak cicha, Posnęły jęki, rozpacz, niedole, Posnęły cichło na tym leż padole.

Ale w powietrzu, ponad śpiących głowy, Jak zatracenie cichą idzie stopą Bolesć gryząca — z rozkazu Jehowy. Sączą się jady jakas straszna ropa W piersi omdlałe trudem całodziennym — I Bóg odbiera spójność ludziom sennym!

Albowiem nie się na ziemi obszarze Bez Jego woli wcale stać nie może: On trwogi zsyła i wichrom grać każe Na harfie sumień, On zapala zorze, On bryłę ziemi w posąg bólu zmienia — I lzy dziedziczą wszystkie pokolenia.

A człowiek sądzi, że w bezkresie bytu, Sam jest wszechwładnym, wszechpotężnym panem; I wśród rozpacz, wśród bólu i zgrzytu Urąga Bogu, zamiast paść kolanem

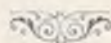
Przed Jego mocą, prosi zetrzeć obliczem Przed Jego wolą i wyrzec: „Jam niezem!“

To też ten upiór okropny, piekielny, Idzie z błyskawic polyskami w oku, Wiernie żyjący, bólem nieśmiertelny, Z rozkazu Boga i z jego wyroku. A choć drzew liście bez szelestu wiszą — Kiedy on idzie — ludzie nie nie słyszą.

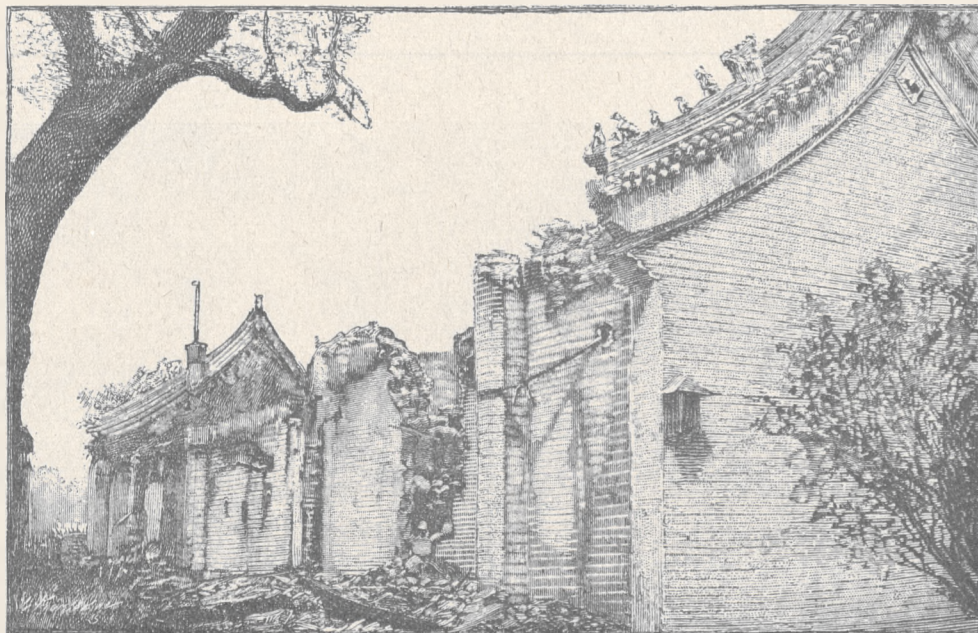
Do każdej piersi krwawy nóż przykładą, Dobywa serce i krew w niem zatrąwa; Lada cierpienie, drobny suutek lada, Obręczą bólu ci piersi zakuwa... I już nie znajdziesz ukojeń w rozpacz, Póki Bóg winy odpuścić nie raczy.

Wszak każdy człowiek, nawet bardzo lichy, Miota się w łyce okowach zbyt dumnie; Ale się staje pokorny i cichy, Gdy ręce na krzyż ułożą mu w trumnie, Gdy pierś mu trawie przestanie tęsknota I gdy Bóg zdejmie zeń kłętą żywota.

Michał Magiera.



Z wojny chińskiej.



Dom poselstwa francuskiego po oblężeniu.

Oddział Nr. 6.

opowiadanie dla inteligentnej publiczności

Antoniogo R. Czechowa.

(Ciąg dalszy.)

Mosiek, którego w obecności doktora Nikita nie mógł obszukać i odebrać zdobyczy, rozłożył dookoła siebie kawałki chleba, papieru, kości poogryzane i, drząc jeszcze wciąż od zimna, coś śpiwnie mówił po hebrajsku. Może mu się zdawało, że sklep założył.

— Wypuście mnie — drżącym głosem prosił Jan Dmitricz.

— Nie mogę.

— Dlaczego? dlaczego?

— To nie odemnie zależy. Pomyślcie, jaka dla was korzyść, jeżeli ja was wypuszczę? Pójdziecie. Zatrzymajcie was policyanci i zawróćcie z powrotem.

— Tak, tak, to prawda... — przyznał Jan Dmitricz, trąc sobie czoło. — To straszne! Ale cóż mam robić? co?

Głos Jana Dmitricza i jego młoda, rozumna twarz, o nerwowym wyglądzie, zaciekała doktora. Chciał porozmawiać z nim i uspokoić go, siadł więc przy nim i zaczął:

— Wy mnie pytacie, co robić? Najlepsze chyba, uciekać stąd, ale w skutkach to bezowocne. Was złapią. Jeżeli społeczeństwo odgrada się od przestępców, psychologicznie chorych i wogóle niepotrzebnych ludzi, widocznie to jest niezbędne. Wam pozostaje jedno: uspokoić się tem, że wasza obecność tu jest potrzebna.

— Nikomu nie jest potrzebna.

— Jeżeli już raz postanowiono, że więzienia są dla złoczyńców, a szpitale dla obłąkanych, to przecież trzeba, żeby ktośkolwiek w nich się znajdował. Nie wy, to ja — nie ja — to kto inny. Przyznasz pan, że gdy w dalekiej przyszłości więzienie i szpitale obalą, to i krąg w oknach nie będzie i chałatów... Taki czas przyjdzie wcześniej czy później.

Jan Dmitricz uśmiechnął się ironicznie.

— Doktor żartuje — mówił, mrużąc oczy. — Takich panów jak wy i wasz pomocnik Nikita niewiele obchodzą czyny przyszłości. Ale w to możesz wierzyć, szanowny panie, że nastaną lepsze czasy, wyrażę się jasno, oto wszędzie jutrznia nowego życia, zmartwychwstanie prawda i będzie święto na ziemi. Ja nie doczekam, zdecnę, może wnuki nasze doczekają. Życzę im tego z całej duszy i cieszę się za nich! Naprzód! pomagajcie Bóg! przyjaciele przyszłości!

Jan Dmitricz z błyszczącymi oczyma podniósł się i, wskazując na okno, z łzą w głosie ciągnął dalej:

— Z za tych krat, błogosławie was! Ożyje prawda! Cieszę się!

— Ja nie znajduję gwałtownej przychylności do uciechy — powiedział Andrzej Efimycz, któremu apostrofa Jana Dmitricza wydawała się troszkę teatralną. — Więziennych i szpitalnych gmachów nie będzie, prawda, jak pan raczyłeś zauważyć, ale czas właściwości rzeczy nie zmieni, przykazania przyrody pozostaną zawsze te same. Ludzie będą chorować, starzeć się i umierać, jak obecnie. Jaka by nie była ta zorza, oświecająca życie, zawsze koniec końców jest śmierć. Włożą w trumnę i w grób rzucają.

— A nieśmiertelność?

— E, głupstwo.

— Wy nie wierzyacie, no, ale ja wierzę. Dostojewski czy Wolter mówi, że gdyby nie było Boga, toby go ludzie

wymyślili. A ja głęboko wierzę, że gdyby nawet nieśmiertelność nie istniała, to wcześniej czy później ludzki rozum by ją wytworzył.

— Dobrze powiedziane — uśmiechając się z zadowolenia, przytaknął doktor. — To bardzo dobrze, że wy wierzyacie. Z taką wiarą można przysiewać żyć nawet zamurowanym w ścianie. Czy pan kształcił się gdziekolwiek?

— Tak, byłem na uniwersytecie, ale nie skończyłem studyów.

— Pan jesteście głęboko — myślącym. W każdym wypadku znajdziesz pewne ukojenie w samym sobie. Swobodna i głęboka myśl, która służy do zrozumienia życia i pełna świadomość głupiego ustroju świata, to dwa szczęścia, nad które człowiek nie ma nic wyższego. Tem można słodzić sobie życie, choćby za trzema kratami. Dyogenes żył w beczie, a mimo to był szczęśliwszym od wszystkich cesarzy ziemskich.

— Wasz Dyogenes był bałwanem — szorstko przerwał Jan Dmitricz. — Co mi mówicie o Dyogenesie i o jakimś tam zamurowaniu. — Rozzłościł się nagle i zerwał z łóżka. — Ja lubię życie, szalenie lubię! Mam manię prześladowczą, mam ciągłą, męczącą trwogę, ale są chwile, gdy mnie porywa żądza życia i wtedy boję się zwaryować. Strasznie pragnę żyć, strasznie!

Zdenerwowany, przeszedł się prędko i, zniżając głos, mówił:

— Czasami marzę i mam wtedy widzenia, jakieś wizje. Widzę wtedy ludzi, słyszę ich głosy, muzykę, mam wrażenie, że chodzę po jakimś wielkim lesie, po brzegu morskim, słysząc szum fali, i wtedy, wtedy mam ogromne pragnienie zapomnienia.

Nagle przerwał i, zmieniając temat, rzekł:

— Powiedz mi pan, co słysząc na świecie?

— Ciekaw pan jesteś o miasto, czy ogólnie? (C. d. n.)

tłum. Bronisława Jeremi.



Julian Bartoszewicz

(Ciąg dalszy.)

W r. 1859 zaczęła wychodzić wielka Encyklopedia Orgelbranda. Wychodziła przez lat ośm, — a przez ten czas poświęcił jej Bartoszewicz co najmniej połowę swego czasu. Zdarzyła mu się sposo-

brzość zużytkowania choć w części swych olbrzymich notat. Encyklopedia zawiera 1291 jego artykułów, które dają 3650 stron Encyklopedyi, a ponieważ każda jej strona to najmniej tyle, co półtoręj stronicy zwykłego formatu i druku dzieł historycznych, wszystkie zatem artykuły Bartoszewicza dałyby się pomieścić zaledwie w 12. sporych tomach. Dodać należy, że niektóre z nich pozostały w rękopisie jak np. artykuły o unii kościelnej, bo nie puściła ich całkiem cenzura moskiewska. Nie wiele trzeba dodać, aby z artykułów Bartoszewicza utworzyć zupełną osobną Encyklopedię historyczną polską. Jakiego znaczenia zaś są te artykuły, niech stwierdzą słowa tak wybitnego historyka jak prof. Stanisław Smolka. „Śmiało twierdzić można, pisze on, że między historykami naszymi nie było, niema i nie będzie łatwo nikogo, kogoby można nazwać tak obfita, niewyczerpaną kopalnią wiadomości, jaką był Julian Bartoszewicz. Dotychczas utrzymuje się żywa tradycja owych słynnych jego szuflad z niezliczonymi wypisaniami, w których niemal zawsze

zдания Bartoszewicza. zerwanie z ustalonymi opiniami o dziełach i pisarzach. Z biegiem lat „skrajne“ poglądy Bartoszewicza. z małym wyjątkiem, przyjęły się zupełnie. Autor nie miewał się do wrzawy, tylko na karcie tytułowej swego egzemplarza napisał: Displaceam aut placeam, minus curo-sat si prosim (czy się podobam, czy nie podobam, mniej o to dbam, — dość, abym był pożyteczny). „Literaturę“ w 2 edycjach rozebrano, a i dziś jeszcze, po latach 40 od jej wydania hr. Stanisław Tarnowski w przedmowie do świeżo wydanej 5-cio tomowej „Historii literatury“, jako „najlepsze“ wyróżnia literaturę Bartoszewicza i Spasowicza.

W r. 1861 Michał Konarski, obywatel z Ukrainy, zapisał testamentem po 10.000 złr. Szajnosze. Bartoszewiczowi, Maciejowskiemu i głośnemu wówczas Lompie, budzącemu na Śląsku życie narodowe. Zapis niewielki, ale zaszczytny, będący jakby echem, opinii publicznej, która wysoko stawiała zasługi tych mężów dla nauki i społeczeństwa.

Za czasów Wielopolskiego został Bar-

Mianowski rektor szkoły głównej, zaręczał Bartoszewiczowi, że nominacja jego nastąpi za parę tygodni. Tymczasem Mianowski wezwano do Petersburga, i znów się rzecz opóźniła. Wreszcie kiedy wszystkie przeszkody zdawały się być usunięte, kiedy Mianowski i Papłowski, „persona gratissima“ u rządu, winszowali już Bartoszewiczowi katedry, raptem zawiął wiatr inny i polecono ogłosić konkurs. Na tem ogłoszeniu skończyło się, bo rząd moskiewski zacząwszy tępić wszystko co polskie, przez samą konsekwencję nie mógł dopuścić do utworzenia „niebezpiecznej“ katedry. Główna w tem wszystkim była wina Wielopolskiego, który przez nie nawiąże do człowieka, zaszkodził samej sprawie.

W r. 1865 zaczęto powoli znosić wszystkie urządzenia Wielopolskiego z r. 1861 i 2. Najpierw wzięto się do szkół położonych za Wisłą we wschodniej połowie Kongresówki i zaprowadzono tam wykładowy język rosyjski, chciano przez to pokazać, że właściwa narodowość polska tylko na lewym brzegu Wisły się znaj-

stał się wesółym pośród młodzieży, w której chciał widzieć przyszły naród. Choć mówił szybko i niewyraźnie — słuchali go z nieopisanem zajęciem, a choć zwykle tylko wykladał, rzadko bardzo egzaminując — uczyli się na wysłuch. Uczniów też jego dziś jeszcze łatwo poznać można po gruntowności ich przekonań polskich i religijnych. Kiedy miał ostatnią lekcję ze łzami w głosie przemówił do młodzieży, w te mniej więcej słowa: „Przy historii powszechnej i literaturze dużo wam mówiłem o Polsce. Słyszeliście o wielkich królach, bohaterach, pięknych czynach — teraz was będą uczyć jak lwany i Piotry mordowali, jak carów duszono, jak cały naród zostawał w niewoli, ciemnocie i upodleniu. Zamiast najpiękniejszych kart historii, czytać będziecie najkrwawsze, najnieczystsze!...“ Wiltujew wiedział za co oddalił ze służby zanego profesora. To też, gdy dano Bartoszewiczowi dymisyę, uczniowie jego z rozrzewnieniem żegnając ukochanego nauczyciela, ofiarowali mu wielką pamiątkową fotografię liczego swego grona. Jeden też z nich (zajmujący dziś wybitne stanowisko w literaturze) poświęcając pamięci Bartoszewicza, piękny wiersz, wyśpiewał z duszy zbolalej:

Ty — coś uprawiał złotych dziejów niwę,
Wart czei potomnych — żegnaj nam Ju-
Walka! c złamała, nie lata sędziwe, [lianie!
Nad czystą duszą racz mu świecić Panie!

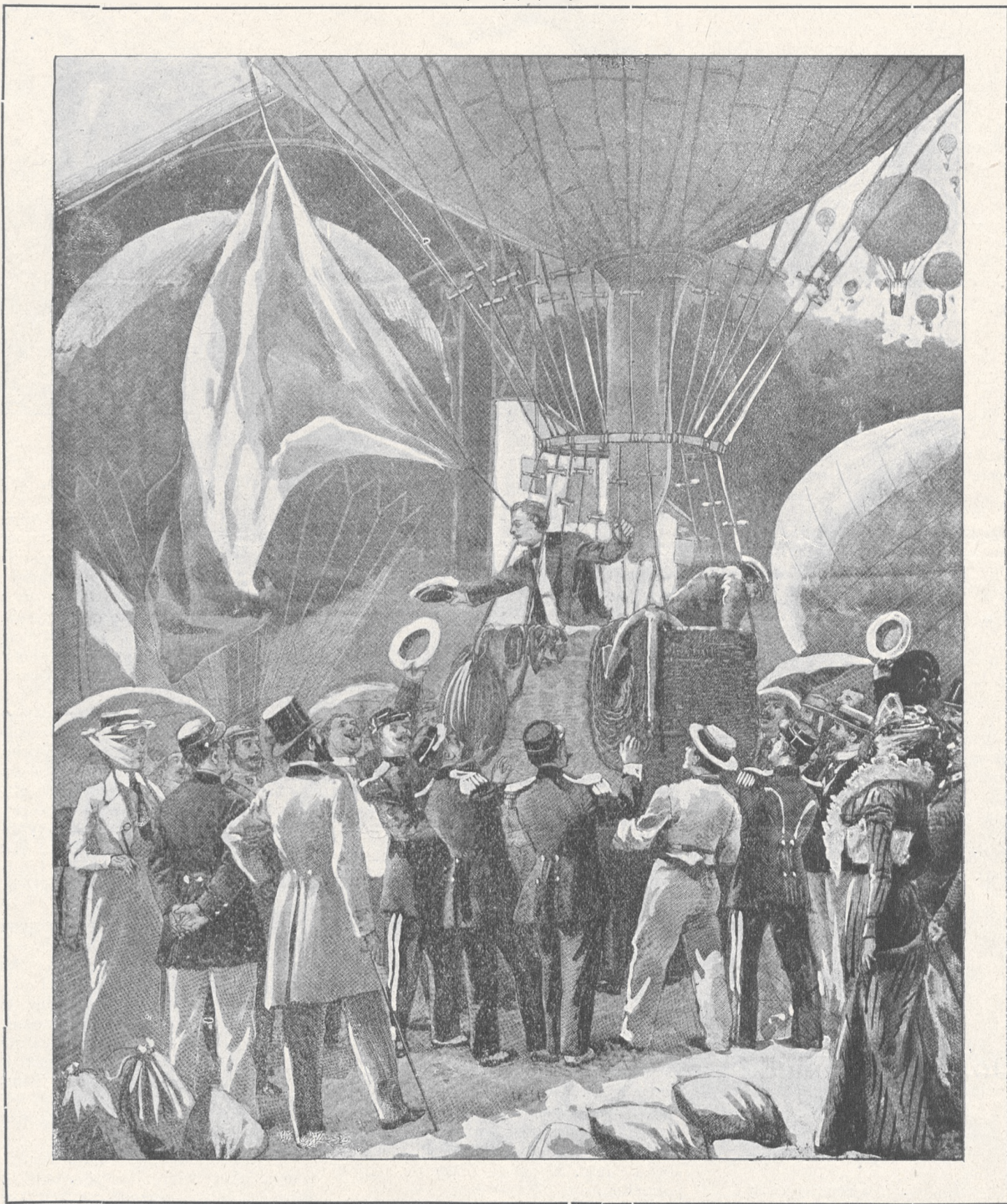
Jako ci, których opiewałeś sławę,
Szli przed narodem niosąc przed nim godnie
Berło królewskie lub złotą buławę,
Tak Tyś przed nami niósł ducha pocho-
[dnie, i t. d.

Pozbawiony zajęć urzędowych, oddał się Bartoszewicz z podwójnym zapalem ulubionej pracy. Jeszcze trochę wcześniej (między r. 1861—1864) wydał pamiętniki Rulikowskiego i Krzysztofa Zawiszy, napisał też historię Kijowa (część jej wyszła w Albumie Kijowa), a w pismach poznańskich ogłosił kilka rozpraw (jak np. obszerny rozbiór dzieła St. Priesta „Le Partage de la Pologne“) i tomowy „Szkic dziejów kościoła ruskiego w Polsce“. W latach, o których w tej chwili piszemy, wzięł się do układania „Tablic historycznych“; dzieło to kilkotomowe, nieoszacowany podręcznik dla historyków, zakupił w rękopisie hr. Seweryn Uruski i miał je wydać swym nakładem. Jednocześnie ukończył Bartoszewicz rozpoczętą dawniej 4-tomową „Historią pierwotną Polski“ wydaną po jego śmierci przez syna, poczem zabrał się do pisania pozostającego dotychczas w rękopisie „Panowania Aleksandra Jagiellończyka“ i do tomowego „Żywota Adama Kisiela“. — Wreszcie uproszony przez prof. Girsztowla skreślił „Historię Szpitala Dzieciątka Jezus“... Obok tych prac, zadziwiających ogromem, zaczął pisać na nowo pamiętnik swego życia (1867—1870). Nie wspominamy o licznych drobniejszych artykułach, rozprawach i życiorysach... Ze dzieła większe pozostały w rękopisie, ten tylko dziwi się może, kto niewie, do jakich ostateczności doszła wówczas cenzura rosyjska. Był to czas w którym Bartoszewiczowi wymazywano: kasztelana brzeskiego, bo Brześć leżał już za granicami Królestwa, a więc cenzura brzeskich kasztelanów nie uznawała. Była nawet chwila, w której cenzura wprost nieprzepuszczała żadnych artykułów lub dzieł dotyczących się dziejów Polski.

„Historię pierwotną Polski“ nazwał po jej wydaniu (w r. 1879) znakomity historyk Kazimierz Jarochoński „fenomenem na polu naszej historyografii“: — czytał też o niej osobną wielką rozprawę na posiedzeniach poznańskiego Towarzystwa. Przew. Nauk. i dowodził, „że ani dzieło Naruszewicza, ani wstęp krytyczny Bielowskiego, ani odnoszące się do tego czasu prace Lelewela, Szajnoch i Moraczewskiego, ani nawet historia Roeppla, wszystko to nedorównywa ani rozmiarami opowiadania, ani szerokością poglądów dziełu Bartoszewicza“. „Historia pierwotna“ przeszła wprawdzie cenzurę moskiewską, ale tak pocięta, tak pokiereszowana, że niema chyba książki pod zaborem rosyjskim, która by tak oryginalny przedstawiała widok. W miejsce dziesięciu lub piętnastu kartek wlepiona jest jedna, na której u góry znajdują się cyfry, oznaczające liczbę opuszczonych stron, i na obu stronach kartki pięć lub sześć wierszy druku, łączących przerwany ustęp z dalszym tokiem opowiadania.

Nie ujrzał całkiem cenzury wydany osobno, również po śmierci autora, „Szkic dziejów kościoła ruskiego w Polsce“, bo byłoby chyba złośliwością i drwinami posyłać cenzurze dzieło, w którym każdy ustęp potępiał politykę moskiewską. Nie

Z Wystawy paryskiej.



Wyścigi balonów w Vincennes koło Paryża.

znalazła się odpowiedź na najrozmaitsze zapytania, zadawane co do szczegółów w zakresie biografii znakomych mężów historii literatury i topografii historycznej. Trwały pomniki tej erudycji pozostały nieoszacowane do dziś dnia artykuły B. o rzeczach polskich w „Wielkiej Encyklopedyi Orgelbranda“ (Przedm. do „Dziejów bisk. żmudzkiego,“ napisanych przez biskupa Wołonczewskiego).

„Historia literatury polskiej“ napisana przez Bartoszewicza w r. 1860, stała się wypadkiem dnia. Pisali o niej: Baliński, Siwiński, Korzeniowski, Kraszewski, Łukasiewicz, Tyszyński, Ehrenberg, Dmochowski, Mosbach i t. d. Z krytyk tych można by złożyć parę tomów. Zarzuty sypały się jak z rękawa, obrony również. W samej „Bibliotece warsz.“ ukazały się trzy wielkie recenzje, Mosbach wydał broszurę. Powodem tej wrzawy były śmiałe

toszewicz naprzód kustoszem biblioteki głównej, a następnie profesorem literatury i historii polskiej w drugim gimnazjum warszawskim (oba te przedmioty zaprowadzono w dwóch najwyższych klasach). Michał Grabowski, dyrektor główny prezydujący w Komisji Oświecenia zapewniał Bartoszewicza, że są to posady tymczasowe, że lada chwila otrzyma katedrę historii polskiej w tworzącej się szkole głównej. I rzeczywiście katedra ta była na papierze, ale Wielopolski pamiętny wystąpienia Bartoszewicza w sprawie fundacji Świdzińskiego, opierał się jego nominacji. Podobno wreszcie uległ presji opinii, ale dopiero w chwili kiedy musiał ustąpić ze swego stanowiska. Zaraz potem Grabowski zachorował i umarł — śmierć jego i nieszczerne ówczesne wypadki odroczyły sprawę katedry. Podniesiono ją na nowo z początkiem r. 1865 i wówczas

duje. Lecz r. 1866 wzięto się do szkół warszawskich, których inspektorem został Wiltujew, gorliwy rusyfikator. Wiltujew, na wzór Muchanowa zaczął dokuczać Bartoszewiczowi od pierwszego dnia swego urzędowania. Pomimo, że wiele jeszcze wykładów było w języku polskim, kazał mu (we wrześniu) wykladać literaturę i historię powszechną po rosyjsku. Były to tylko przyczepki, aby znieść całkiem wykłady pierwszego z tych przedmiotów i oddalić profesora, który przed żadnym ze swoich zwierzchników płaszczyć się nie umiał. Bartoszewicz 28 września 1866 dostał za nieuległość dymisyę z profesorstwa.

Na uczniów swoich wywierał Bartoszewicz wpływ dziwnie wielki, miłowali go oni i szanowali bez granic. Zawsze gdzieś indziej poważny i zamyślony, do szkoły wchodził z uśmiechem na twarzy,

znany książki historycznej, pisanej z takim temperamentem, z taką patryotyczną namiętnością; każda karta szkicu zdaje się być pisana krwią, żółcią i łzami. O dziele tem napisał uczony X. St. Załęski T. J. osobną broszurę. „Nie jest to szkic suchy, jałowy i nagi — pisze w niej krytyk — ale historia wdzięcznie, swobodnie, ujmująco opowiedziana. Niektóre rozdziały są warte aby w osobnym przedruku w milionie egzemplarzy zostały rozrzucone po całej Polsce, Rusi i Rosyi“.

Od czasu wielkich mrozów w lutym 1870 r. zaczął Bartoszewicz cierpieć na duszność przy oddychaniu. W czerwcu wyjechał w okolice Warszawy do przy-



Antoni Kędzior nauczyciel ludowy.

jaciela swego księdza Janczaka i w jego domu mocno zasłabł. Doktor Kryszka czuwający od lat kilku nad jego zdrowiem, przyzwał do pomocy najlepszych warszawskich lekarzy, Natansona i Chałubińskiego, ale i ci nie potrafili zapobiedz rozwijającej się chronicznej chorobie Bright'a. Zresztą, jak sami lekarze utrzymywali, do zgonu Bartoszewicza przyczyniły się głównie wieloletnie jego gorycze, tak osobiste, jak z niedoli narodu pochodzące, które przy nerwowym usposobieniu szkodliwie oddziaływały na organizm olbrzymią pracą dawno zwątlony. Nawet na łóżu niemocy, Bartoszewicz pomimo napomnień lekarzy nie mógł się rozstać z nauką i pracą, choć każda chwila jej poświęcona, skracała mu dni życia. Wśród cierpień swoich jeszcze czytał otrzymane dokumenta i prowadził korektę ostatnich arkuszy historii szpitala Dzieciątka Jezus. „Smutno było (pisze Gazeta Warszawska), na tle istnie po literacku księgami najeżonej pracowni, widzieć postać korzącego się przed Opatrznością Bożą chrześcianina, wiedzącego zawczasu, że ani usilna pomoc lekarska, ani pieczołowitość najbliższych sercu, nie nie wskorają. A była chwila, w której zapomniał o chorobie, kiedy twarz jego zapromieniała szczęściem i nadzieją. Francya wypowiedziała wojnę Prusom, a każdy wtedy wierzył, że za trzy tygodnie Francuzi będą w Berlinie. Widzieć jeszcze przed śmiercią klęskę wrogów, a po niej może początek zniszczenia się najdroższych ideałów — to był szczyt marzeń Bartoszewicza. Ścisnął całował wszystkich, radował się jak dziecko. To też strasznym ciosem były dla niego wieści o zwycięstwach niemieckich. Kiedy sam już nie mógł czytać, uciekała się rodzina do podstępu i syn odczytując telegramy zmniejszał lub tał klęski francuskie — przemilczał kapitulację Metz. Wśród ostatnich straszliwych i bezsennych nocy, myślał jeszcze ciągle o kraju i nauce, dla których stał się dobrowolnym męczennikiem całego życia. W nocy z 4 na 5 listopada, pożegnał się z rodziną, dziećmi i sędziwymi rodzicami. O godzinie 5 rano spowiadał się i przyjął ostatnie namaszczenie z rąk kanonika Jakubowskiego. O godzinie 10 przed południem zasnął snem sprawiedliwych.

(Dok. nast.)



Na szczyty gór.

Na wysokości 4.000 metrów nad poziomem morza stanąć ma obserwatorium. Dookoła morze lodów i śniegów i potężne strumienie lodowców. Dzikie, nagie, poszarpane góry, bezdenne przepaście.

Tam do obłoków sięgnęła myśl ludzka i technika stanęła gotowa do usług.

Zamach na p. Götza-Okocimskiego.



Teofil Sikora uczeń 8-mej klasy gimnazjalnej.



P. Jan Götz-Okocimski.

Na lodowcach szczytu „Jungfrau“ — 4177 m. nad poziomem morza — wiek XX, położyć pragnie znanie kultury.

Jakie to brzmiały hymny zaszczytu, gdy kilka dziesiątek lat temu na „Semmeringu“ założono szynę i parowy rumak popędził nad brzegi Adryi. Z jaką to dumą czcił człowiek tę chwilę, gdy wytężona praca mózgow,

maszyn, tysięcy rąk roboczych przedarła granicę gór Gottharda i tam, pod złomami skał w głębiach tunelu rozległ się świst lokomotywy! A z początkiem nowego wieku buduje się kolej w obłoki — tak bowiem nazwać można ten pomysł kolei do wysokości 4.000 metrów. Rozległy, wspaniały krajobraz, rozciągający się przed oczyma turysty ze



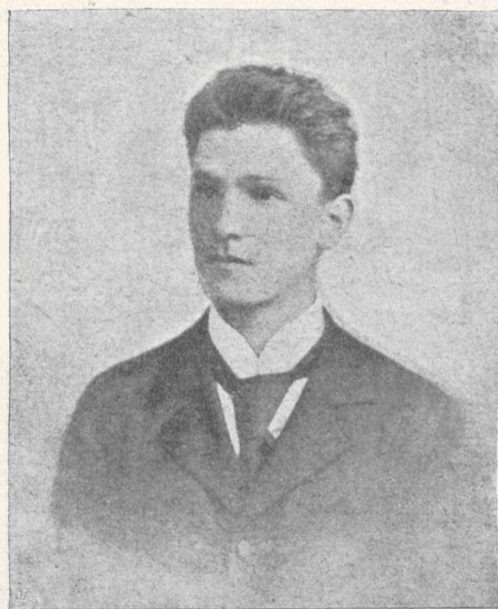
Pałac carski w Liwady na półwyspie krymskim, gdzie leży car złożony chorobą.

szczytu „Jungfrau“, stanie się dostępny wszystkim.

Dotychczas tylko wytrwali śmiarkowie mogli wspinać się po lodowcach, odbywać żmudne wędrówki wśród przepaści i pól śniegu. Zwykły śmiertelnik mógł tylko u stóp podziwiać majestatyczny widok lśniących wstęg lodów i śniegów, niebotyczny w obłokach szczyt.

W niedługim czasie jednak będzie mógł po krótkiej, czarującej widokami podróży stanąć u szczytu, z którego obejmie okiem wielki malowniczy płat ziemi.

Mimowoli budzi się pytanie — jak można się dostać koleją na taką szaloną wysokość, czy jest to możliwe? czy podróż nie grozi



Józef Cziżek nauczyciel ludowy.

niebezpieczeństwem? czy będziemy mogli tam oddychać i spokojnie oddać się czarowi przyrody?

Gdy po raz pierwszy pojawił się projekt takiej kolei, spotkał się z licznymi zarzutami. Jedni uważali to za profanację i głosili, że te czarne linijki dymu i szyn zohydzą śliczne góry, inni przedstawiali niebezpieczeństwa takiej jazdy — szkodliwość dla zdrowia, a znowu inni kolosalne koszty. Trwało to dość długo, nim energiczny inżynier Guyer Zeller uzyskał zatwierdzenie swego projektu, podług którego zabrano się do wykonania tej budowy.

Mnóstwo rzeczoznawców powołano do wydania opinii pod względem technicznym, zdrowotnym, estetycznym, aż wreszcie przystąpiono w 1896 r. do pracy.

Do stacji Eigergletscher (2353 m.) (widok na wspaniałą panoramę łańcucha Eiger, Mönch i Jungfrau) wznosi się cała trasa łagodnie po stokach. Stacja ta znajduje się u stóp lodowca i odtąd zaczyna się partya wiecznego śniegu, huczących lawin i olbrzymich lodów.

Dalej kolej idzie nie po stokach, lecz tunelem ciągle w górę, aż do wysokości 4066 m., a stamtąd wyciągiem na sam obłoczny szczyt. Tunel długi na 10,5 km. ma mieć w odstępach boczne krużganki, któremi przejść można na tarasy, otwierające widok na najwspanialsze krajobrazy.

Następna stacja jest Eiger (2812 m.) w podziemiu, wykuta hala w skałę na umyślnie pozostawionych filarach skalnych. Wszystko urządzone tam z największą wygodą dla podróżnych; ściany, stropy, podłogi wyłożone drzewem — pokoje oświetlone elektrycznie, ogrzewane. Na bezpieczne balkony zewnątrz prowadzą wykute w kamieniu krużganki.

Pod grzbietem łańcucha „Eiger-Mönch“ wznosi się ma dalej śrubowo tunel do stacji na południowej stronie „Eismeer“ (morze lodów) 3160 m. nad poziomem morza.

Podczas gdy z poprzedniej tarasy wzrok padał w dal na łagodne wzgórza, uroczę doliny pełne zieleni, to tu przykuwa oczy krajobraz dziki — świat lodów i nagich skał. Przed nami olbrzymi kocioł — ściany to niebotyczne szczyty „Finsteraarhornu“, „Schreckhornu“, w których w niedojrzanej przepaści na dno idą wstęgi lśniące, nagie olbrzymie kaskady lodowców.

Dokoła cisza grobu, życie nie istnieje, a jeszcze 1.000 m. wyżej, olśniewającej białości szczyt Jungfrau nęci duszę, chciwą wrażeń. I znowu wyżej ma nas unosić lokomotywa elektryczna, do ostatniej stacji w obłokach Jungfrau...

Tam ma stanąć w odpowiednim miejscu obserwatorium (jest to warunek koncesji budowy) zbudowane kosztem przedsiębiorstwa.

Jak wspominaliśmy, kolej cała jest elektryczną, to znaczy ruch odbywa się z pomocą elektryki, a prąd przechodzi do lokomotywy górą, podobnie jak przy tramwaju elektrycznym.

Elektryki zaś dostarczają te same kolosy skał i lodów, które człowiek poskramia, —

oto potok górski, spadający z Jungfrau daje siłę 9 tysięcy koni.

Woda, chwycona w rurę żelazną 1.80 m. średnicy, płynie półtora klm. aż do centrali elektrycznej i spada na dwie olbrzymie turbiny (spad 35.5 mtr.), które wprawiają w ruch dynamo-maszyny, wytwarzające prąd elektryczny.

Dwa lata trwała budowa sekcji pierwszej do stacji Eigergletscher potem rozpoczęły się prace dalsze, budowa tunelu wśród nieopisanych trudności. Tam, gdzie śnieg znika tylko na cztery miesiące o tyle, że można postępować z budową na otwartym miejscu, tam robota nie może postępować spieszenie.

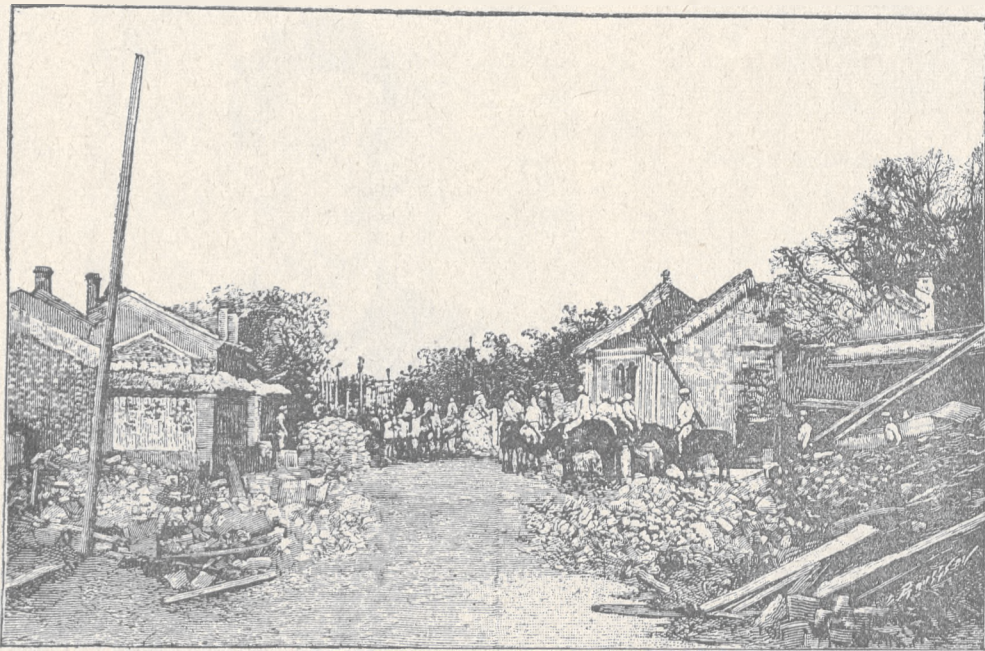
Z początkiem września 1898 r. rozlegał się łoskot pierwszego pociągu w podziemiu

Tajemnica oka.

Opowiadanie z angielskiego.

Podczas spisywania tej historii leży przedemną na biurku fotograficzna płytka. Zaledwie trzy razy w ciągu swego życia widziałem obraz, jaki rzuca na ekran i za każdym razem mróz ścisnął mi żyły, za każdym razem zimny pot występował na moich skroniach. Teraz, gdy leży spokojnie na biurku, nie znać na niej ani śladu strasznego obrazu, gdyż inaczej nie trzymałbym jej przy sobie. Zrazu widać na niej tylko małe ciemne kółko, przy bliższym wpatrzaniu się majaczy jakiś cień,

Z wojny chińskiej.



»Ulica poselstw« w Pekinie po oblężeniu ambasad europejskich przez hordy czerwonego kulaka.

skał — przybyli ze wszystkich części świata uczestnicy uroczystości byli świadkami zwycięskiej walki człowieka z potęgami natury.

Inżynier Guyer-Zeller, wódz tych zapasów tytanicznych, nie wiedział wówczas, iż patrzy ostatni raz na majestatyczny krajobraz lodów.

Z nadejściem zimy rozpoczęło się życie klasztorne — inżynierowie i robotnicy, odcięci od świata, pracowali dalej nad dziełem.

Śród głuchego milczenia pod rozległym płaszczem śniegu alpejskiej zimy, dynamo-maszyny ślały prąd hen przez chmury do samotnych głazów górskich, rozsadały granity i dzień w dzień zdobywano 3 i pół do 4 m. tunelu... coraz głębiej i wyżej wgryzały się maszyny wiertnicze.

Miano się dostać nad przepaść przy ścianie Rotstock półtora klm. długą przestrzenią, aby w r. 1899 otworzyć tę część kolei dla turystów. Ciężkie chwile przechodzili tam ci samotni, eksplozja dynamitu zabrała w lutym 6 ofiar i nikt nie pozostał, mogący wyjaśnić powód nieszczęścia.

W murze wybito krużganek, mający prowadzić na taras stacji Rotstock i była to ostatnia wiadomość, której doczekał się twórca projektu. W kwietniu zamknął oczy na wieki, a wraz z ubytkiem tego niezmordowanego pracownika, tempo robót opóźniło się. Ostatniej zimy fachowcy zbadali i przestudowali dalszy ciąg tej kolei i znowu w głąbi gór otulonych obłokami rozlega się huk strzałów, przyskają błyskawice elektromotorów.

Już w obecnym sezonie turyści dojeżdżali do Rotstocku i urządzono normalny rozkład jazdy. Ceny są do Eigergletscher: 3 franki, do Rotstocku 5 fr.

Obliezione, że jazda na sam szczyt w wysokości 4.000 m. potrwa dwie godziny... ale kiedy i czy lokomotywa się tam wzbije — to przyszłość okaże.

Towarzystwo akcyjne nie zdecydowało się jeszcze, a inżyniera Guyer-Zellera nikt dotychczas w całej pełni zastąpić nie zdołał.

W ubiegłym sezonie korzystało z tej kolei 20 tysięcy turystów — dochód wynosił 70 tysięcy franków.

Obawy co do wpływu rozrzedzonego powietrza okazały się płonne, bo płuca zwolna akomodują się do zmian klimatycznych wraz z wznoszeniem się w te regiony wiecznych śniegów.

Za przykładem Szwajcaryi idzie Francja z projektem równie śmiałym kolei na „Mont-blanc“ (4.800 m. nad pow. morza). Wszystkie przygotowania ukończone, a w niedalekiej przyszłości w urocinie Chamouni, huczyć będą dynamomaszyny, a ujarzmione strumienie siły kaskad swoich oddadzą drutom, aby wznieść człowieka ku chmurom.

który je otacza, cień bardzo słaby i nikły, prawie że nieforemny. Pozornie nie ma tam nic więcej, a jednak ta płytka ukrywa w sobie coś, co raz ujrane nigdy nie da się zapomnieć, a związana z nią historia jest tak dziwna, tak tajemnicza, iż niemal trudno dać jej wiarę...

Od 4 lat mieszkam tutaj na jednym ze wschodnich przedmieść Londynu. Praktyka moja jest dość rozległa, mimo iż liczę się do bardzo młodych lekarzy.

Pewnego rana, około 10 godziny stałem właśnie w swoim pokoju do przyjęć i oparłszy się plecami o kominek myślałem o nowym odkryciu, na które wpadłem podczas robienia prób z elektrografem. Starałem się mianowicie o odfotografowanie ludzkiego mózgu i w tym celu ustawiłem się przed aparatem fotograficznym z czołem skierowanym, jak mi się zdawało do wyłotu soczewki. Po wywołaniu płyty okazało się wszakże, iż przyrząd był nastawiony trochę za nisko; na negatywie widać było tylko jakiś ciemny punkt, a gdy włożyłem płytę do elektrografu i rzucił na ekran jej zwiększony obraz, poznałem na nim swoje własne oko. We środku źrenicy majaczyły bardzo niewyraźne zarysy jakichś twarzy, tak zamglone, że w żaden sposób nie mógł ich rozpoznać. Jedynym sposobem do wytlomaczenia tego problemu zdawało mi się przyjęcie hipotezy, iż stojąc przed aparatem fotograficznym myślałem o tych osobach, których twarze odbiły się później w mem oku...

Roztrząsając ten ciekawy problemat, stałem pogrążony w głębokim zamysleniu, gdy naraź odezwał się dzwonek. Otworzyłem drzwi sam, gdyż służącego nie było w domu. Stał przedemną wysoki, może 50 letni człowiek o miłej, inteligentnej twarzy, ozdobionej gęstym, dobrze utrzymanym zarostem. Włosy miał siwe, duże, stanowczo zaciśnięte usta, a z pod krzaciastych brwi błyskała para siwych nieustraszonych oczu. Jedno spojrzenie na tę twarz wystarczyło, by wpoić we mnie przekonanie, iż mam do czynienia z człowiekiem o wysokiej inteligencji i wybitnie samodzielnym charakterze.

Poprosiłem go, by zechciał wejść do pokoju.

— Czy mam zaszczyt mówić z panem doktorem Kettenbergiem? — rzekł spokojnie, aczkolwiek czulem, że oczy jego usiłują przeniknąć tymczasem do głębi mojej duszy.

— Nazywam się Ronnebeck. — Przy tych słowach, wyjąwszy z pugilaresu swoją kartę wizytową podał mi ją do przeczytania.

— Ach, Ronnebeck! — zawołałem — więc pan przychodzisz z policji śledczej. Czy mogę zapytać co pana do mnie sprowadza?

— Chciałbym pana prosić o udzielenie mi odpowiedzi na kilka pytań, odnoszących się do ś. p. Wiktora Kayzera. Był on współwłaścicielem znanego domu bankowego Kayzer i Sprenger. Wszak się pan z nim znał?

— Jakto? Ze ś. p. Wiktorem Kayzerem? powtórzyłem zdziwiony do najwyższego stopnia. — Przecież wczoraj wieczorem jeszcze z nim rozmawiałem, odprowadzając go aż do rogu Ogrodowej ulicy... Chyba nie chcesz pan twierdzić, że umarł?

— Jak widzę, nie czytał pan jeszcze, doktorze, porannego dziennika — odpowiedział, wskazując na nierozciętą dotąd gazetę.

— Co do tego masz pan rację...

— Nie, nie, daj pan na razie pokój — odrzekł Ronnebeck, w chwili gdy chwycił za dziennik. — Lepiej opowiem panu wszystko, to będzie prędzej. A zatem — Wiktor Kayzer został wczoraj wieczorem między 9 a 10 godziną zamordowany na rogu ulic Zamkowej i Ogrodowej. Wedle zasięgniętych przezemnie informacji widziano go ostatnio z panem, panie doktorze. Czy rozumiesz pan teraz, poco tutaj przyszedłem?

Krew ścięła mi się lodem w żyłach. Musiałem zapewne nagle poblednąć, gdyż straszliwe przypuszczenie, że mogłem być silnie podejrzany o dopuszczenie się morderstwa, wstrząsała moje członki nieustannym dreszczem strachu. Ostatnio widziano go ze mną — ze mną!

— Czy chcesz pan dać mi przez to do zrozumienia, panie Ronnebeck, iż podejrzewasz mnie o...

Lecz Ronnebeck przerwał mi, mówiąc nader grzecznym tonem:

— Daruj pan, panie doktorze, powiedziałem już przecież, iż przychodzę prosić o danie mi odpowiedzi na niektóre pytania. Byłoby mi bardzo przykro, gdybyś pan miał mnie źle zrozumieć...

Mówił spokojnie i obojętnie.

— Powiedz mi pan zatem, w jaki sposób go zamordowano?

— Został zastrzelony. Znalezione go pod latarnią z dwoma kulami w piersi. Obie weszły do płuc. Złoczyńca nie obrałował go ani ze złotego zegarka, ani z łańcuszka, ani też z pieniędzy, czyli, że nie mamy tutaj do czynienia z rozbójniczym morderstwem. Motyw zbrodni jest, jak dotąd, niezbadaną tajemnicą.

— Okropność! Okropność! — wyszeptałem z cicha. — Czy mogę oglądać zwłoki?

— Naturalnie. Chodź pan ze mną. W drodze możemy jeszcze porozmawiać o całej sprawie.

— Czy pozwolisz mi pan oddalić się na kilka minut celem przygotowania się do wyjścia?

— Bardzo proszę.

Odrzuciłem się od niego i wyszedłem z pokoju, udając się do pracowni, w której robiłem doświadczenia chemiczne. Otworzyłem drzwi, spostrzegłem jasne światło. Zdziwiłem się. Ach, prawdopodobnie zapomniałem zgasić lampę w elektrografie, gdyż na ekranie jaśniał jeszcze ciągle obraz mego oka. Widok jego zrobił na mnie dziwne wrażenie, gdyż zdawało mi się, że śledzi ono za każdym moim poruszeniem.

Podczas gdy gasiłem światło i podciągałem w górę rolety, przyszła mi nagle do głowy myśl, którą postanowiłem natychmiast wykonać, jeśli mi tylko pozwolą. Przystąpiłem do szafy i wyjąwszy z niej mały czworokątny przyrząd fotograficzny włożyłem go do skrzynki wraz z trzema płytami. Do drugiego pudełka zapakowałem małą baterję elektryczną i grubą hermetycznie zamknięty szklany cylinder z drutami wpuszczonymi po obu końcach. Zapakowałem jeszcze wszystko co jest potrzebne do zrobienia zdjęcia, udałem się z powrotem do Ronnebecka, trzymając w rękach dwie skrzynki drewniane i trójnog od aparatu.

Ronnebeck oderwał wzrok od gazety i spojrzał na mnie.

Myślałem, że widząc mnie tak wyekwipowanym jak do dalekiej podróży, zrobi przynajmniej zdziwioną minę, lecz nie wyrzekł ani słowa, — nawet cień zdziwienia nie przemknął po jego nieprzeniknionem obliczu.

— Jak pan myślisz, czy wolno mi będzie odfotografować trupa? — spytałem.

— Naturalnie. Jeżeli pan sobie życzy...

— Tak jest. Pragnę tego usilnie, mam bowiem myśl, której spełnienie może pomódz panu w jego poszukiwaniach.

Może to było przywidzenie, ale zdawało mi się, iż brwi Ronnebecka nieco się zmarszczyły...

— Jeżeliś pan już gotów, doktorze, to możemy udać się w drogę — rzekł

spokojnie. — Pozwolisz pan, że pomogę mu w dźwiganiu pakunków?

Mówiąc te słowa ujął jedną z niesionych przezemnie skrzynek.

Dopiero po kwadransie drogi piechotą znaleźliśmy dorózkę, a w 15 minut potem byliśmy przed domem, którego adres został przez Ronnebecka podany woźnicy. W drodze wypytywał mnie Ronnebeck o różne szczegóły życia zamordowanego. Wysiadłszy z powozu udałem się za dektetywem przez ogromne podwórce do małego kamiennego budynku. Ronnebeck otworzył drzwi swoim kluczem, weszliśmy go środka, gdzie na wielkim stole leżał zabity Kayzer.

Oglądawszy zwłoki zabrałem się do przygotowania celem dokonania zamierzonego zdjęcia, przyczem Ronnebeck bardzo grzecznie mi dopomagał. Oczy trupa były szeroko rozwarłe. Ustawiłem swój aparat na jakie 6 ctm od jego twarzy tak, że soczewka była skierowana na jego źrenicę, poczem umieściwszy stosownie szklany cylinder, połączyłem oba jego druty z baterją elektryczną. Gdy za chwilę szkło zajaśniało blado-żółtym światłem, zdjąłem osłonę z soczewki.

W 7 mniej więcej minut wszystko było skończone. Spakowałem swoje przybory i pożegnałem się z Ronnebeckiem udałem się do domu bez żadnych przeszkód z jego strony. Gdy wszakże wyszedłem na ulicę, zobaczyłem jakiegoś człowieka idącego za mną w odległości jakich 50 kroków...

Byłem śledzony przez tajną policję. Po obiedzie zabrałem się do wywoływania płyty, wykonując wszystko z jak największą dokładnością, gdyż szło mi o to, aby obraz wypadł bardzo wyraźnie. Około 5 godziny praca była skończona. Zapaliłem lampę w elektrografie i poczekawszy chwilę aż się światło ustali, wsunąłem płytę do środka.

Na ekranie widać było tylko jakiś blady niewyraźny cień, widać obraz nie znajdował się w samem ognisku aparatu, więc posunąłem płytę nieco w tył, oczekując w najwyższym napięciu tego, co miało się oczom moim okazać.

Za chwilę niewyraźny cień na obrazie poczęł przybierać coraz bardziej wyraźne, określone kształty. I w tejże samej chwili zamajaczyła mi w duszy świadomość, iż zobaczę coś, czego jeszcze w życiu nigdy nie oglądałem, widok, o jakim nigdy mi się nawet śnić nie było mogło, Ale dopiero wpatrzwszy się dobrze w świetlane koło, odrzynające się od ciemnego tła ekranu pojąłem całe straszliwe znaczenie rezultatu, do którego doprowadziły mnie moje badania.

Na ekranie widniało oko, nieruchome, w przestrzeń wpatrzone oko trupa. Wrażenie, jakiego doznałem było tak silne, tak przenikające, że z razu nie mogłem nawet zauważyć całej dokładności obrazu.

We środku źrenicy widniała jakaś twarz. Przystąpiłem bliżej dla skontrolowania czy się nie mylę, lecz przekonałem się, że to, co widzę jest prawdą. Pomyślałem sobie, że chyba postradał zmysły... Twarz była mi znaną i usta moje mimowoli wyszeptały: — Sprenger!

Głowę miałem gorącą jak ogień, lecz ręce dygotały mi z przenikliwego zimna. Ścisnąwszy skronie pięściami zatoczyłem się ku drzwiom, ale jakaś nieprzewidywana siła kazała mi spojrzeć jeszcze raz w stronę ekranu... Oko zdawało mi się poruszać, występowało z płótna idąc prosto na mnie!...

W jednej chwili zakręciłem światło i wypadłem z pokoju, zatrzaskując drzwi za sobą. Pierwszy raz w życiu doznałem tak strasznego nieopisanego trwogi.

W dziesięć minut potem byłem już w kantorze firmy Kayzer & Sprenger, gdzie mnie przyjął wspólnik zamordowanego.

— Jakże mi przyjemnie, że pana widzę, doktorze — rzekł podając mi rękę. — Zapewne słyszałeś już pan o tem nieszczęściu, które spadło na naszą firmę? Proszę siadać pan!

Zająwszy miejsce na fotelu spojrzałem mu badawczo w oczy. Był ogromnie niespokojnie i zdenerwowany.

— Tak jest — odpowiedziałem — wiem już o wszystkim. Przychodzę jednak w zupełnie innej sprawie. Chodzi mi o to, abyś pan zechciał udać się wraz ze mną do mej pracowni, gdyż chciałbym panu zademonstrować nowe odkrycie w dziedzinie elektrografii a raczej fotografii, którego właśnie udało mi się dokonać, tylko nie próbuj pan odmawiać, bo wiem, że musiałbyś sam później tego żałować. Jest to rzecz nadzwyczaj ciekawa, która z pewnością pana zainteresuje.

— O ten świat, ten świat! Ja siedzę tutaj pogrążony w smutku, a pan przy-

chodzisz poto, aby bez żadnej ceremonii zabrać mnie ze sobą i pokazywać mi jakieś odkrycie, przez które masz nadzieję zostać sławnym! Tak, tak! Ludzie to plemię egoistów! Ale uczynię zadość pańskiemu żądaniu.

Podczas jazdy Sprenger mówił ciągle o swoim zamordowanym współniku i mimo wszelkich usiłowań nie mogłem go sprowadzić na żaden inny temat rozmowy.

Wreszcie znaleźliśmy się w moim mieszkaniu. Pokój do którego zaprowadziłm Sprengera, był pogrążony w zupełnej ciemności. Zapaliwszy światło, począłem przygotowywać swój aparat, rozmawiając ze Sprengerem, który usiadł w wygodnym fotelu.

— Odkrycie, które mam zamiar panu pokazać, potrzebuje bliższych objaśnień, a to ze względu, że pomiędzy niem a wczorajszym morderstwem zachodzi pewien związek.

Sprenger poruszył się niespokojnie — Jestem przekonany — ciągnąłem dalej — że nikomu nie zależy bardziej na odkryciu sprawy tego ohydneho przestępstwa, jak właśnie panu!

— Tak, tak, ma się rozumieć — odparł jakimś dziwnie głuchym stłumionym głosem.

— Otóż wiedz pan, że odkrycie, które pan ujrzy za chwilę odnosi się raczej do pana, niżeli do mnie...

Nie odrzekł ani słowa. Wtedy przystąpiłem do aparatu i zapaliwszy światło począłem obserwować wyraz twarzy mojego gościa, zmieniający się w miarę tego jak straszliwy obraz coraz to wyraźniej uwydatniał się na ekranie. Wreszcie okropne oko wystąpiło na płótno w całej swojej grozie. W tej chwili Sprenger zbladł jak trup i zakrył twarz rękami z głuchym jękiem.

— Boże, co to jest?

— Elektrografia — odparłem zimno.

— Czemuż to się tak na mnie patrzy, czemu mnie przesładuje?...

— Oko trupa — wyszeptalem stłumionym głosem, patrząc mu w twarz.

Drżąc na całym ciele zerwał się z fotelu.

— Boże! Boże! To jego wzrok, to jego oko! A tam, tam... Co to? Moja twarz! Miłosierny Boże! Litości! Zabierz to pan, precz z tem, precz na Boga!!!

Zgasilem światło — obraz zniknął — Sprenger upadł znów na fotel. Myślałem, iż zemdlął, ale w tej chwili począł mówić.

— A zatem odkryłeś mordercę, doktorze — jęknął z rozpaczą.

— Węć ten obraz nie kłamie?

— Nie — wyszeptał — to prawda.

— Czemuś pan to uczynił?

Sprenger otarł zimny pot, który kropkami ściekał mu z czoła.

— Opowiem panu wszystko. Spekułowałem wspólnymi pieniędzmi, kapitałem firmy i straciłem wszystko... przeszło pół miliona! Z końcem tego tygodnia miał zapas nasz wksel na trzykroćstotysięcy, a w kasie nie ma nawet dziesięciu... Ja tylko jeden wiedziałem o grozie położenia.

Nie było żadnego ratunku z wyjątkiem jeżeli... Obaj byliśmy wzajemnie ubezpieczeni na życie. Kto z nas przeżyje drugiego, temu miało być wypłacone sześć-kroćstotysięcy... Rozumiesz pan? Zdaje mi się, że nie potrzeba...

— Zrozumiałem.

— Cóż pan teraz chcesz ze mną zrobić?

— Muszę zawiadomić o wszystkim władze sądowe.

— Nie! Błagam, proszę, zaklinam pana, oszczędź mi tego! Nie mam wprawdzie żadnego prawa do litości, lecz niech miłosierdzie pańskie będzie wyższe nad głos obrażonego poczucia sprawiedliwości, nawet nad głos obowiązku! Oko za oko, ząb za ząb — a więc życie — za życie... Pozwól mi wyjść stąd, a za godzinę będzie już po wszystkim...

Biedny człowiek! Widząc go w tej strasznej chwili i uprzytomniwszy sobie straszny kontrast, jaki zachodził między jego silną męską postacią, pełną życia i energii, a tem, co wrzało w jego duszy, uzewnętrzniając się kurczowem drganiem powiek i gwałtownem zaciśnięciem ust — nie mogłem wstrzymać się od dreszczu zgrozy na myśl, że ten człowiek już zamknął rachunki swego życia i wkrótce stanie z własnej woli przed Najwyższym, surowym lecz sprawiedliwym Sędzią!...

— Czy przysięgasz mi pan uczynić to, o czem przed chwilą mówiłeś?

— O tak, tak — odpowiedział z pośpiechem — przysięgam panu na wszystko, co mam najdroższego na świecie, na moją biedną żonę i główki mych niewinnych dzieci... Za godzinę już mnie nie będzie między żyjącymi.

— W takim razie możesz pan iść — szepnąłem wzruszony.

— Dzięki, dzięki — załkał nieszczęśliwy — niech pana Bóg...

Konwulsyjny płacz nie pozwolił mu dalej mówić. Odprowadziłem go do drzwi i wróciwszy do pokoju spostrzegłem, że mam oczy pełne łez...

Trudno mi było usnąć tej nocy. Ile razy zmrúżyłem powieki i lekki sen począł mnie oganiać, natychmiast budziłem się pośród okropnych widziadeł. Przebiegały się tak do świtu dałem za wygrane i wstałem z łóżka, aby już ubrany czekać na gazetę.

Nareszcie przyniesiono mi ją. Drżącymi rękoma przynosiłem kartki, śledząc za straszną wiadomością, aż nareszcie odkryłem to, czego szukałem.

Sprenger dotrzymał przyrzeczenia.

Za chwilę odezwał się dzwonek. To Ronnebeck przychodził dowiedzieć się o rezultaty mych poszukiwań.

— Dzień dobry, doktorze — rzekł swoim zwykłym obojętnym tonem. — Widzę, żeś pan już czytał dzisiejszą gazetę, czyli, że nie potrzebuję już panu opowiadać żadnych nowin.

— Prędzej ja miałbym panu coś do opowiedzenia. — Jeżeli więc zechcesz mnie posłuchać...

I opowiedziałem mu wszystko, co się się stało dnia poprzedniego, a na zakończenie, widząc, że słuca spokojnie, nie robiąc nawet żadnych uwag, zaprosiłem go do laboratorium.

Pokój był pogrążony w ciemnościach. Zapaliłem lampę aparatu i złowrogi obraz począł występować na ekranie. Wrażenie, jakie ten zimny, trupi, nieubłagany wzrok wywoływał na patrzących, urąga wszelkiemu opisowi. Najstraszniejsze było to, że oko zdawało się zbliżać do widza i iść prosto na Ronnebecka.

Nawet Ronnebeck nie mógł powstrzymać się od krzyknęcia.

— Panie doktorze — rzekł — gdybym nie przekonał się na własne oczy, nigdybym panu nie dał wiary. Jak żyję, nigdy jeszcze nie doznałem takiego strachu. Przecież w swoim zawodzie miałem czas przyzwyczaić się do różnych okropności, nie przypominam sobie wszakże, abym kiedykolwiek miał się czegoś tak przeleknąć. Nigdy, za żadne skarby świata nie pozostałbym tutaj sam na sam z tym obrazem. Twarz wyglądająca ze środka żrenicy jest czemś wprost ohydnym...

Zgasilem lampę w aparacie, a gdy Ronnebeck oddalił się, wyjąłem płytę z lantarni. Od tej pory leży ona zawsze na mojem biurku.

Nasze ryciny.

Car chory! Oczy całego świata są obecnie zwrócone na Krym, gdzie „samowładca świata połowicy“ walczy ze śmiercią. Wprawdzie „urzędowo“ tyfus jest bardzo lekki i życiu cara żadne nie grozi niebezpieczeństwo, lecz trudno by już było znaleźć dziś człowieka, którego by przekonały urzędowe komunikaty. To też dyplomacya zajmuje się nie na żarty sprawą ewentualnego opróżnienia tronu Wszech-Rossyi, sprawą na razie bardzo niejasną i skomplikowaną, gdyż carowa ma nadzieję zostać w niedługim czasie matką. Ponadto, zdrowotność miejsca, w którem zachorował Mikołaj II, obudza liczne podejrzenia co do natury samej choroby... Mówią o otruciu, zamachu, nie brak nawet ludzi twierdzących równie głośno jak uparcie, że car już nie żyje. a śmierć jego jest umyślnie trzymana w tajemnicy... Co-kolwiek by można sądzić o tych pogłoskach, faktem jest, że biuletyny lekarskie bywają datowane z pałacu cesarskiego w Liwadii, który znajduje się na jednej z rycin dzisiejszego numeru. Liwadya jest rezydencją letnią Mikołaja II i leży na południowym wybrzeżu Krymu o niecałą milę od miasta Jalty; przepyszny klimat oraz czarujące położenie kwalifikuje ją w pierwszym rzędzie na uzdrowisko i miejsce letniego pobytu. Znajdują się tam aż dwa pałace carskie, zbudowane przez architekta Monghetiego wśród winnic, parków i wspaniałych ogrodów z egzotyczną roślinnością.

Odnosnie do wypadków na dalekim wschodzie zamieszczamy dziś serię rycin przedstawiających poselstwo francuskie przed i po oblężeniu, zachodni jego fronton zburzony przez chińskie bomby i „ulicę poselstw“ w Pekinie przedstawiającą się dziś jako kupa gruzów i rumowiska. Osobna wzmianka należy się bramie Tsi-Hoa-Men, prowadzącej do t. zw. tatarskiej dzielnicy Pekinu. Jak wiadomo Siksowie, żołnierze indyjscy należący do

składu armii angielskiej, weszli w progi „tatarskiego miasta“ popołudniu dnia 14 sierpnia; w tymże samym dniu wkroczyły wojska rossyjskie do dzielnicy chińskiej, japończycy zaś wdarli się do Pekinu po zapadnięciu ciemności przez wyżej wspomnianą bramę Tsi-Hoa-Meu.

Żyjemy w wieku sportu i wyścigów! Po koniach, rowerach i automobilach przyszła kolej na... balony, czyli ludzkość znudzona wyścigami na odległość, zabrała się do emulacji wżwyż. W Vincennes koło Paryża odbyły się niedawno wyścigi statków nadpowietrznych, zaopatrzonych w liczne przyrządy do robienia pomiarów i obserwowania wszelkich zjawisk, które mogą zachodzić w górnej części atmosfery. Najwyżej wleciał balon kapitana Godarda, ale też obaj jadący w nim żeglarze napowietrzni o mało nie przypłacili życiem niebezpiecznej wycieczki, aż gdy nadmierne rozrzedzenie powietrza w górnych regionach atmosfery uniemożliwiało im oddychanie. Szczęściem między przyrządami znajdowała się tura ze zgęszczonym kwasorodem, więc obaj podróżnicy wdychali go naprzemian, co dozwoliło im uniknąć śmierci z uduszenia. Nasza rycina przedstawia chwilę wzlotu kapitana Godarda.



Tsi-Hoa-Men, brama dzielnicy tatarskiej w Pekinie.

Wcale niewesołe refleksje muszą się każdemu nasunąć po oglądnięciu fotografii, przedstawiających sprawców zamachu na p. Götza-Okocimskiego. Ani Antoni Kędzior, ani Józef Cziżek nauczyciele ludowi, pierwszy w Działoszykach (powiat nowotarski) drugi w Ciecinnie (pow. wielicki), ani wreszcie Teofil Sikora, uczeń 8 klasy gimnazjalnej, nie wyglądają z pozoru na pospolitych rzezimieszków i zwykłych rycerzy siódmego przykazania, przeciwnie twarze ich nie należą wcale do rzędu „polizeiwidrige Gesichter“. Cóż więc mogło popełnić tych młodych ludzi do zbrodnicego napadu? Trudno dać wiarę bajkom o „rządzie narodowym“ i „podatkach na cele patriotyczne“, trudno przypuścić aby Kędzior był istotnie jakimś tam „porucznikiem żandarmerji narodowej“ egzekwującym za pomocą rewolweru datki „na podniesienie krajowego przemysłu“, a jednak niektóre szczegóły śledztwa podane do wiadomości ogółu mogłyby dać wiele do myślenia. Miejmy wszakże nadzieję że skalpel dochodzeń oddzieli włókna bajek od istotnego rdzenia prawdy, wykazując równocześnie bezpodstawność różnych daleko i — zdaleko idących przypuszczeń. Sprzysiężenia, konspiracje, sztylety, „żandarmerja narodowa“ — nie! — po tylu smutnych przejściach, po takiej burzy nieszczęść jaką przetrawiło polskie społeczeństwo, byłoby to zbyt śmieszne i — zbyt smutne zarazem.



Listy z linii A-B.

V.

Przy brzęku szabel, z szelestem proporcji Dawni rycerze szli z wrogiem na boje I dzisiaj walczą rycerze — wyborcy I mają broń swą, mają znaki swoje, I wodzów mają. Nie trudno też orzec, że jaki wódz jest, taki i proporzec.

Jeden z pejsatą bandę Krzywonosów Na miejsce wichrów przedwiońskich śpieszy Z góry oblicza przyszłą sumę głosów Które mu padną z izraelskiej rzeszy Drugi — na niego z swym sztabem się cza! Złożonym z dworskiej służby i lokai.

Każdy mąż stanu i każdy polityk Ma swoje „credo“, przekonania, cele; Tu — sprawa stoi niżej wszelkich krytyk Sam wybór miejsca daje myśleć wiele — Bo miejsce walki trafiać niezwyczajnie Obrwały sobie wrogie strony: stajnię!...

— „Cyrku i chleba“. — wyla rzymska tłum — [szcza —

My już wiekami od nich dość dalecy, Lecz tłum jest tłumem — wiele tym prze- [puszcza

Od których może spodziewać się „hecy“ Ten tłum, choć zmienił postać swą i wygląd Upodobanie ma w zapasach bydła.

Gdy na estradzie ujrano Szkaradka Zmieszany okrzyk przebiegł przez dom cały „Wiwat!“ — krzyczała lokal gromadka A „hańba!“ — znowu ryczały socjały Widząc pomyślny sprawy obrót taki Wskakuje na stół młody kundel Czaki.

Zaszczeakał sobie (bo cóż mu to szkodzi?) — Gromkim okrzykiem „towarzyszy“ witan A już zdaleka w pomoc mu nadchodzi Odbiegłszy budy „Mieszczanina“ — brytan (Ani kagańca nie miał ni łańcucha) Który na miano „Mikołaja“ słuca.

Z wojny chińskiej.

Ci upojeni własną swą wymową I podnieceni swej bandy oklaskiem Plotą i plotą i breszą na nowo Miesząją słowa z stu gardzieli wrzaskiem... Gdy tak się toczy głośna polityka Seinfeld przez okno potworny łeb wtyka.

Więc kto szanował godność osobistą Albo się zbliżać nie chciał najfatalniej Lub co najgorsza — zostać socyalistą, Opuszczał zaraz progi ujeżdżalni Jeden nie cofnął się przed niczem takim: Pan Mikołajski z żydami i Czakim!

Na zewnątrz świetne widzimy obrazki: Pierzchli przed tłumów naciskiem lokaje. W ich miejsce przyszły policyantów kaski!... Miała naukę „służba“, jak się zdaje, że inna — stanąć w pańskim przedpokoju Inna — być stróżem ładu i spokoju!

Nie unikniono tam guza ni sińca — Pióro się wzdyga przed opisem grozy: Kilku andrusów dzielnych ze Zwierzyńca Zawiódł — (o hańbo!) pod Zamek do kozy Stary policyant... My dodajmy o nim, że „numer 10“ jest jego pseudonim...

Amaris.

NADESŁANE.

CENA OGŁOSZEŃ

w „Głosie Literacko-Społecznym“.

Za wiersz petitowy lub jego miejsce pierwszy raz 16 hal. każdy następny raz 10 hal.

W rubryce „Nadesłane“ za każdy raz 40 hal.

Z powodu wysprzedaży Gwiazdkowej

poleca

Magazyn konfekcyi damskiej

MARYI WŁODARSKIEJ

Kraków, Rynek główny Linia A-B l. 45, I. p.

zakiety, saki, peleryny, rotundy i futra w wielkim wyborze

i po znacznie niżonych cenach.

DOBRA OSZCZĘDNA KUCHNIA

Przyprawa do rosółów MAGGI jest jedyną w swoim rodzaju, aby każdy rosół i każdy słaby bulion natychmiast zadziwiająco dobrym i posilnym uczynić, kilka kropli wystarcza. — W oryginalnych flaszeczkach po 50 halerzy do nabycia we wszystkich handlach łakoci, towarów kolonialnych, korzennych i aptecznych. **Oryginalne flaszeczki napelnia się przyprawą do rosółów Maggi jaknajtaniej.** 1-1-0

P. T.

Podjmując poprzednie wydawnictwo „Kraj w obrazach“ z przekonaniem, że nowość ta zainteresuje najszerzy ogół, starałem się przez dokładność materiału i dbałość o estetyczną stronę wydawnictwa, na które to warunki główny kładę nacisk, odpowiedzieć zadaniu pierwszorzędnej publikacji ilustrowanej z treściami, możliwie dokładnymi objaśnieniami, dotyczącymi dat historycznych, tudzież szczegółów odnoszących się do prze-

szłości i teraźniejszego stanu danej **okolicy, miasta, gmachu** lub **zabytku historycznego**, zebranych przez pierwszorzędnych pisarzy naszych. Ukończyłem Seryę I. „Królestwo Polskie“ i przystępuję do wydawnictwa Seryi II. „Galicya w obrazach“.

Wydawnictwo składać się będzie z 24 do 30 zeszytów, a każdy zeszyt obejmie widoki fotodrukowe w rozmiarze 19 24 ctm., a w ten sposób Galicya utworzy album z około 120 obrazów.

Odpowiedzialny redaktor na Galicyę:

Edmund Kolbuszowski.

Wydawca:

Konstanty Woźniak.

Chrześcijański KANTOR WYMIANY pieniędzy w **Stranicy** st. kolei warszawsko-wiedeńskiej, poleca się P. T. Podróżującym.

Kantor wymiany

Filii c. k. uprzywil. gal. akc.

BANKU HIPOTECZNEGO

W KRAKOWIE,

kupuje i sprzedaje pod najkorzystniejszymi warunkami wszelkie papiery wartościowe, banknoty zagraniczne i monety, wydaje przekazy na wszelkie większe miasta zagraniczne.

Wypłata wszelkich kuponów, i wylosowanych efektów bez potrącenia prowizji.

FILIA c. k. UPRZYW. GALIC. AKC.

Banku hipotecznego

W KRAKOWIE,

wydaje

ASYGNATY KASOWE

oprocentowując takowe

4 1/2 % za 90 dniowem wypowiedzeniem

4 % za 60 dniowem wypowiedzeniem

3 1/2 % za 30 dniowem wypowiedzeniem

Filia c. k. uprzyw. gal. akc. Banku hipotecznego przyjmuje wkładki do oprocentowania w rachunku bieżącym, wydaje w tym celu książeczki czekowe, przyjmuje depozyta wartościowe do przechowania, udziela zaliczki na papiery wartościowe i skutecznia zlecenia na zakupno lub sprzedaż efektów na wszystkich giełdach krajowych i zagranicznych.

„Hotel Royal“

co niedzielę i święto **Koncert**

muzyki wojskowej 56. pułku pod batutą kapelmistrza p. Marka.

KUCHNIA WIEDEŃSKA.

Wyłączny wyszynk marcowego **PIWA SCHWECHACKIEGO.**

Początek o godzinie 7 wieczorem. Wstęp wraz z garderobą 40 ct. (Wejście od plantacy).

PODARKI

NA **ŚW. MIKOŁAJA**

I NA ŚWIĘTA

BOŻEGO NARODZENIA

POLECA PO CENACH

KONKURENCYJNYCH

FABRYKA PIERNIKÓW I CUKRÓW

FR. DATKI w Stryju.

(1-10)

CUKIERNIA

J. Sykutowskiego

Kraków, Karmelicka L. 16,

poleca swoje wyroby.

WIELKI WYBÓR

różnych wódek, koniaków etc.

ZAWIADOMIENIE. NOWO OTWORZONA RESTAURACYA I KAWIARNIA wiedeńska

przy ul. św. Krzyża (Mikołajska) Nr. 7

poleca Szan. P. T. Publiczności

znakomitą kuchnię jakoteż napoje,

piwo **Karwińskie;**

BILARD I POKOJE DO GIER TOWARZYSKICH.

Lokal otwarty do godziny 1. po północy.

Polecając się łaskawym względem Szan. P. T. Publiczności,

kreszę się z poważaniem

J. Skicińska.

Dla łatwego wyboru tutek polecam.

Tutki białe „Noris“

„ z wata „

„ kukurudziane „Mais Numa“

„ „ „Mais Albert“

Tutki kukurudziane „Mais de Paris“

„ „ „Mais Wallis“

„ egipskie „El Maur“

„ „ „Ofic. Club“

Idąc za postępem i rozwojem przemysłu i chcąc zaspokoić wszelkie wymagania palących papierosy, wprowadziłem „Noris“ udoskonalone, tem się odznaczające, że papieros zapalony nie gaśnie szybko, nie naciąga tłuszczem, i dlatego cały papieros do końca można smacznie wypalić.

W ogle zwracam uwagę na tutki białe „Noris“ i kukurudziane, odznaczające się chłodnym i łagodnym dymem, nie wpływające ujemnie na zmianę smaku i zapachu tytoniu i to jest ich bardzo wysoką zaletą, że nie drażnią krtani i nie pobudzają wskutek tego do kaszlu.

Liczne uznania jakie ciągle odbieram, są najlepszym dowodem niepospolitej jakości moich wyrobów.

Do nabycia w handlach i trafikach.

Wyłączny skład na Lwów i wschodnią Galicyę: w składzie osobliwszych gatunków tytoniu i cygar, ulica Karola Ludwika.

14

Z wysokim poważaniem

Wł. Bełdowski, mag. farmacji i chemik.

PP. Kupcom i Cukiernikom polecam worki papierowe i pudełka na cukry po cenach bardzo niskich.

Na żądanie wysyłam darmo i oplatnie okazy tutek.

Zakład przemysłowy wyrobów papierowych oraz tutek cygaretowych

„NORIS“

WŁ. BEŁDOWSKIEGO

magistra farmacji i chemika w Krakowie,

Kraków, przy ul. Poselskiej l. 20.

888

Polecamy do nabycia we wszystkich księgarniach:

Portrety do Albumu Zasiłanych Polaków

1/48 ctm. wielkości, wyszły z druku, cena egzemplarza 1 K. 50 h.

Adam Mickiewicz rysunku St. Kosztewskiego, Henryk Sienkiewicz według fotogr. Miena, Matejko według własnego portretu.

Album Hen. yka Sienkiewicza do powieści „Potop“

16 rytyn 8-ka, broszurowana cena 2 K. 40 h.

17 rytyn z prologiem 8-ka opr. w płd. 3 K. 60 h.

16 rytyn w teczce płóc. na kartonie do powieści „Ogniem i Mieczem“ (nakład trzeci).

13 rytyn 8-ka, broszurowana cena 2 K. 40 h.

oprawne w płotno 3 K. 60 h.

w teczce płóciennej rytyn na kartonie w strycinie (dla młodzieży). 8-ty wspaniały wydanie, ilustr. z wierszem „Or-Or-Or“ Cena — 2 K.

ALBUM „KRÓLOWIE POLSCY“

w ozdobnej płóciennej oprawie brzeg złocisty Cena — 2 K. 40 h.